

ZARZĄDZANIE

ŚLĄSKIE

KWARTALNIK

LITERACKI

1908

ZESZYT II

WŁOZYCIEL I WYDAWCA DŁ ERNEST FARNIK

OKŁADKA WZIĘTA Z „ŻYWOTKA“ STROJU „WAŁASKIEGO“ W CIESZYŃSKIM.

PROJEKTOWAŁ PAWEŁ KLIMCZUK.

CIAŁ W LINGULEUM BERNARD KOTULA.

S P I S

TREŚCI:

	<i>Stronica :</i>
Wspomnienie pośmiertne	49, 77
O Modernizmie	50
Wiersze . 49, 53, 54, 55, 56, 66, 67, 76, 84	
Obrazki prozą	57, 75
Sztuka ludowa	62
Dramat, (tragedya wierszem)	68
Pieśni ludowe	79
Tańce ludowe	82
Bajki	86
Wzmianki i oceny	87, 89
Materyały (stare zwyczaje śląskie i t. d.)	91

AUTORÓW :

<i>Stronica :</i>	<i>Stronica :</i>
Arjos	84
Chlebiak Fr.	94
Chlebowczyk	
Fr.	62, 76
Cieszyn	87
Farnik Ernest	95
Fischer Stan.	77, 91
Francus F.	93
Górniewicz Wł.	67
Grim Eman.	54, 96
Habura Fr.	49
Hadyna J.	82, 83, 84
Hławiczka Al-	
drzej	79, 80, 81
Jędrkoński A.	50
Kopeć J. S.	96
Kotula Bernard	60
Lebiedzik Józef	68
Łuka Jan	60
Mucha Józef	57
Wolf Leon	75
Sikora Adam	53
Sznurowski	
Jan	66, 86

W Austrii abonament roczny 4 kor., półroczny 2 kor., 40, cena pojedynczego zeszytu w księgarniach 1 kor. 20, w Administracji 1 kor. Po za Austrią przyjmuje się tylko abonament roczny.

W Niemczech 4:25 K, do wszystkich innych państw 4:60 K.

(Administracja „Zarania Śląskiego“: Cieszyn, Dworkowa 2. Śl. Austr.)

Przedruk tylko w celu zacytowania wyjątków dozwolony.

Sztuki i monologi drukowane w „Zaraniu“ odgrywać wolno, tylko na podstawie umowy z wydawnictwem, które według stosunków materyalnych sceny, żąda pewnego procentu z dochodu brutto na Bursę polską A. Mickiewicza w Cieszynie, o ile autorowie nie zastrzegą sobie nadto innych praw.

DRUGI ZESZYT WYSZEDŁ Z DRUKU 15. I. 1908.

Druk okładki i zeszytu wykonano w drukarni „T. D. N.“ P. Mitreği w Cieszynie.

ZARANIE ŚLĄSKIE

ZESZYT 2.

STYCZEŃ, 1908.

ROK I.

STANISŁAW WYSPIAŃSKI

umarł w Krakowie dnia 28. listopada 1907. Prochy jego złożono kilka dni później na „Skałce“, oddając w ten sposób pośmiertny hołd poecie, którego dzieła były nie tylko arcytworami sztuk, ale miały prócz „skrzydeł archańskich“ także „głos i miecz archanioła“.

Nie długo świeciła jego gwiazda nad nami, przeszedł szybko, jak dzień grudniowy i zgasł w chwili najżywszego rozkwitu swojej twórczości. A jednak w dziesięciu latach zrobił więcej, niż są w stanie dokonać dziesiątki ludzi wspólnym wysiłkiem w dziesiątkach lat: rozorał dusze rodaków i rzucił w nie zdrowe ziarno, które zaczyna już wschodzić, nowe ideały i drogi ukazał, — — starczyło mu sił i czasu, żeby na te drogi duszę polską wprowadzić. Długi szereg jego dzieł, to części jednej i tej samej „Pieśni“, której treścią wszystkie bóle i nędzy nasze, wszystkie dążenia i nadzieje. To zarazem opowiadanie o Polsce dawnej i współczesnej i rachunek sumienia narodowego, akty patriotyczne wiary i nadziei i groźba i proroctwo: satyra na nasze grzechy, a zarazem pobudka i pieśń tyrteuszowska. Dawno już nie było w poezji polskiej głosu, któryby tak głęboko wnikał do duszy współczesnej, jak głos Wyspiańskiego.

Długie lata będzie nami duch jego rządził i będzie bezpośrednio przemawiał do wszystkich serc żywych; nie będzie zakątka polskiej ziemi, gdzieby jego imienia nie wymawiano ze czcią.

Fr. Habura.

DO MŁODYCH POETÓW „ZARANIA ŚLĄSKIEGO.“

Witam Was, piewcy „Śląskiego Zaranja“,
Witam Was, pilne skowronki,
Was, co budzicie lud z długiego spania,
Was Zmartwychwstania cne dzwonki!

Wstaliście rano, aby lud do pracy
Wzywać i stawiać w zastępy,
Aby znów w dziejach ci ślascy junacy
Wsławili miecz swój nietępy.

Miecz, co zasłaniał Zachód przed Tataram,
I pod Lignicą szedł w boje,
I na Psim Polu pod polskim sztandarem
Zawzięte wrogów bił roje.

Wam błogosławi z Jasnej Góry Pani,
Bogarodzica Dziewica,
Ona, choć ucisk wrogów serca rani,
W „Zaraniu“ blaskiem przyświeca.

Niech to „Zaranie“ będzie zmartwych-
wstania

Całego Śląska zaraniem,
A ta pieśń Wasza będzie powitania
Pieśnią, gdy żywi znów wstaniam.

Pieśniami swemi budźcie wciąż zasnętych,
Aby do pracy powstałi,
A słowem sądu chłostajcie zaprzańców,
Iż wiarę ojców złamali.

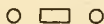
Śpiewajcie, aż tą pieśnią zabrzmia sioła,
Niwy i góry i bory;
Pieśń ta wyżenie, jak miecz Archanioła,
Z Śląska gniotące upiory.

A historia wdzięczna Wasze imię
W marmurach litych wyrze,
Jak Kamillusów niegdyś w starym Rzymie,
Blask Was, pogromców, okryje.

Taką Was pieśnią wita ten, co Wasze
Serca i myśli do czynu
Sposobił, a dziś, zacne dzieci lasze,
Stroi Was w wieniec z wawrzynu!

T a r n ó w , 16. listopada 1907.

A. Jędrzkoński.



O MODERNIZMIE W NAJNOWSZEJ LITERATURZE POLSKIEJ.

Pisząc w tej materii, odważamy się na krok śmiały. Śmiały dlatego, że jesteśmy sobie świadomi, jak dużo nam brakuje, by wydać sąd dojrzały i wszechstronny w sprawie tak poważnej. Sądzymy jednakowoż, że niekoniecznie trzeba sprawę od razu dobrze rozwiązać, wystarczy poruszyć ją z uprawnionego stanowiska, aby przyczynić się do wyrobienia w tym kierunku zdrowej opinii publicznej, która potrafiłaby ustrzedz niejedną siłę twórczą przed manowcami. Chcemy zaś sprawę poruszać kolejno ze stanowiska narodowego, społecznego i chrześcijańsko-etycznego. Wprawdzie zwolennicy zasady „sztuka dla sztuki“ z góry nazwą takie stanowisko przestarzałym i powiedzą, że literatura, podobnie jak sztuka, jest czemś dla siebie, czemś niezawisłym. I słusznie, samoistość sztuki obok etyki i innych dziedzin ducha jest dla nowoczesnego człowieka sama przez się zrozumiała, w tem znaczeniu i my godzimy się na „sztukę dla sztuki“. Nie chcemy jednak wysnuwać z tej zasady fałszywych konsekwencji, nie możemy się zgodzić na to, by literatura piękna ignorowała zupełnie wielkie chwile dziejów społecznych, gdy chodzi niemal o śmierć i życie narodu i społeczeństwa, lub też, by ze swego samoistnego stanowiska burzyła zasady etyki.

Zaczynamy od stanowiska narodowego.

Sto lat dobiega od czasu, kiedy się w Polsce zaczęła walka klasyków z romantykami. Chodziło tu o to, by w miejsce literatury klasycznej dać społeczeństwu literaturę narodową. Coś podobnego dzieje się i dzisiaj. Modernizm i klasycyzm spotykają się ze sobą w tym punkcie, że oba są kosmopolityczne, międzynarodowe, gdy tymczasem położenie naszego narodu wymaga literatury narodowej. Anglicy, Francuzi, Niemcy mają swoje państwa, im, jako narodom silnym, kosmopolityzm nie szkodzi. Nam Polakom, chociaż narodowi wielkiemu, jednak nie należącemu do największych i bez własnego państwa, kosmopolityzm ubliża i szko-

dzi. Musimy więc być ostrożni wobec wszelkich prądów kosmopolitycznych, a natomiast pielęgnować zdrową ideę narodową. Dalej jest modernizm u wymienionych narodów czemś, co wyrosło na ich gruncie własnym; w Polsce jest on przeniesieniem do naszego piśmiennictwa tego, co już było prędkiej u obcych. Zatem i tutaj schodzi się modernizm z klasycyzmem, oba są w mniejszym lub większym stopniu naśladownictwem. Do tego dołącza się jeszcze, że istota obu tych kierunków leży wyłącznie w nastroju. Wprawdzie co do rodzaju tego nastroju i co do formy zachodzi radykalna różnica. Klasycyzm tchnie spokojem, równowagą, modernizm jest namiętny, gwałtowny, pełny najsprzecznějších myśli i uczuć. Są to jednak tylko różne objawy tejsamej istoty, wynikające z tego, że każdy z obu tych prądów powstał na odmiennym gruncie: klasycyzm na gruncie starożytnego świata klasycznego, posiadającego dużo energii, mało zapału i tęgie nerwy, modernizm na gruncie świata nowożytnego, posiadającego również dosyć energii, mało zapału lecz nerwy... mocno nadszarpane. Obu tym kierunkom brak więc zapału; podają nam tylko nastroje, podczas gdy społeczeństwo pragnie pokrzepienia ducha narodowego, chce popędu i zachęty do czynu, podczas gdy nawet sama chwila dziejowa woła o uwiecznienie.

Już bowiem w pierwszych kilku latach XX. wieku przeżyliśmy chwile gorączkowe. Wielkie nadzieje samorządu w Królestwie rozwiały się niedługo po wojnie rosyjsko-japońskiej. W Prusiech, jeszcześmy nie zapomnieli czarnej sprawy wrzesińskiej, a już nastąpiła walka o polską naukę religii, krwawo zapisana męczeństwem dzieci polskich; dziś wreszcie stoimy tam w przededniu wykonania piekielnego planu wywłaszczenia. I czyż na taką krzyczącą krzywdę i męczeństwo narodu polskiego, nasza literatura ma pozostać głuchą? Czyż to nie materiał godny największych talentów? Dotychczas tylko Konopnicka poświęciła wiersz dręczonym dzieciom. Prócz tego Wyspiański¹⁾ i Rydel wprowadzili na scenę kilka sztuk na tle przeszłości narodu, przyczem naturalnie modernizm w tych dziełach zeszedł na plan drugi.

Popatrzmy natomiast, o wiele inaczej wygląda pod tym względem poezja Mickiewicza. Weźmy „Pana Tadeusza”; jakże żywo są tu oddane wielkie nadzieje czasów napoleońskich? Weźmy trzecią część „Dziadów”, „Konrada Wallenroda”, „Grażynę”, wszędzie tu przebija wielka miłość narodu i głębokie, subtelne czucie z całym narodem, wszędzie — że tak powiem — można się „napić, nadychać ojczyzny” i to zupełnie bez ujmy dla wartości artystycznej. Co więcej, dzieła zyskują przez to na sile i podniosłości. To też idei narodowej, wysuniętej przez Mickiewicza na czoło poezji, nie śmiemy się zrzekać w najnowszej literaturze, tem więcej, że naród znajduje się dziś w cięższych warunkach niż kiedykolwiek. Bez idei zaś

¹⁾ Wszystkie dzieła, jak wogóle całą działalność Wyspiańskiego, należy nazwać modernistyczną o tyle, o ile przebija tu mistyczno-pesymistyczny nastrój. Jednak to spotykamy także u romantyków n. p. u Mickiewicza w „Dziadach”. Co zaś jest specyjalną cechą modernizmu: przepięta zmysłowość i wybujały indywidualizm przechodzący w brutalny egoizm, to usuwa już sama idea narodowa, która wymienionym dziełom nadaje inny charakter.

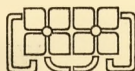
narodowej nie śmie szerszej działalności literackiej zaczynać szczególnie Śląsk, stojący tak blisko najgroźniejszego nieprzyjaciela. I jeśli do śmiałyli może zdań, jakie dotychczas wypowiedziałem, mogę jeszcze dodać śmiałe marzenie, to powiem: Oby podobnie, jak przed stu laty od kresów wschodnich, od Litwy, powiał odżywczy duch narodowy dla poezji polskiej, od kresów zachodnich, od Śląska, niosąc ze sobą potęgę i moc świeżo obudzonego uczucia narodowego i zakusami germanizacji zahartowanej wiary w niespożytą siłę narodu.

Korzystniej, niż ze stanowiska narodowego, przedstawia się nasza najnowsza literatura na pierwszy rzut oka ze stanowiska społecznego. Nasi najwięksi powieściopisarze ostatnich lat, Żeromski i Reymont, zaglądają równie dobrze do salonów i dworów szlacheckich, jak i do chat wieśniaczych i do zaułków miejskich, na ugor i do fabryk. Zauważyć jednak można u Żeromskiego, że w „Ludziach Bezdolnych“, gdzie autor przedstawia dolę doktora z ludu, o zasadach prawdziwie demokratycznych, nie przebija jeszcze modernizm w całym tego słowa znaczeniu; gdzie zaś tak jest, jak n. p. w „Popiołach“, tam autor porzuca klasę pracującą, którą cechuje zapał i zwraca się do szlachty, gdzie przeważa używanie i nastrój. Nie chcemy z tego czynić zarzutu Żeromskiemu; byłoby to wprost śmiesznem. Przecież każdy artysta ma prawo dobierać dla swej twórczości materiały, jaki najlepiej odpowiada jego duszy twórczej. Chodzi nam tylko o to, by wskazać, że modernizm z natury rzeczy nosi w sobie skłonność poświęcania swej twórczości głównie klasom wyższym, jako że u nich właśnie jest najwięcej gry nerwów, cechującej ten kierunek.

Dalej godnem uwagi jest to, że chociaż powieści na tle życia niższych warstw społecznych pisał już Kraszewski i szczególnie wielki mistrz powieści gminnej, Prus, chociaż tego tła nie zaniedbali także nasi najnowsi pisarze, to jednak brak w naszej najnowszej poezji silnej idei demokratycznej. Tak samo, jak co do idei narodowej poezja nasza porzuciła tory Mickiewicza, tak samo co do idei demokratycznej opuściła ona drogę wskazaną przez Słowackiego. Wprawdzie słusznem poniekąd jest zdanie, że demokratyzowanie społeczeństwa jest rzeczą nauki i publicystyki, jednak nie śmiemy zapominać, że nauka przemawia jedynie do rozumu, a nie do uczucia i woli, publicystyka zaś jest polem starć partyjnych i polega właśnie na tem, że każda partya broni swoich interesów i poglądów i nie można wcale mieć nadziei, by prasa kiedykolwiek wywiesiła zgodnie chorągiew szczerzego demokratyzmu. Trzeba zatem głosu i popędu z wyższego piedestału, trzeba go tem więcej teraz, skoro tego wymaga, obecnie więcej niż kiedykolwiek gorące tętno życia społecznego. Bo chociaż to nie może być jedynem zadaniem poezji, by poruszała idee społeczne lub jakiegokolwiek inne i popychała je na nowe tory, to jednak może tego wymagać od niej naród, stojący w wyjątkowym położeniu. Mimo bowiem, że prawa obywatelskie każdego człowieka, bez względu na urodzenie i stopień wykształcenia, są obecnie zasadą powszechnie przyjętą, to jednak poszanowanie ludu pracującego rękoma i usiłowania, by go pod-

nieść umysłowo i kulturalnie i uczynić klasom inteligentnym to poszanowanie łatwiejszem, są w naszym społeczeństwie, mimo chlubnie rozwiniętej pracy oświatowej, u większości inteligencji niedosyć szczerze i rzetelne, nie mówiąc już o „dobrze urodzonych“. Nie znaczy to, żeby u naszych sąsiadów n. p. u Niemców miało być pod tym względem lepiej. Są oni jednak w tem szczęśliwszem położeniu, że mogą los swojego ludu powierzyć państwu swemu narodowemu, którego my nie posiadamy. Wobec tego też idea demokratyczna, jest żywotną potrzebą naszego narodu i także poezya nie śmie jej zapoznawać. Trzebaby nam takich ludzi, jakimi byli Szafarzyk i Palacki dla Czechów, trzeba nam więcej takich, jakim jest nasz Prus, trzeba nam prowadzić dalej myśl demokratyczną, wniesioną do naszej poezyi przez Słowackiego. Krok zaś ku temu, lepszy niż sobie można wyobrazić, zrobił już młody przyjaciel Słowackiego, Ujejski. W „Pogrzebie Kościuszki“ jest powitanie bohatera racławickiego przez „Króla kmiotków“ momentem wielce podniosłym, godnym najlepszej poezyi. Równocześnie zaś bije z niego taki serdeczny demokratyzm, że przemawia do każdego czującego Polaka bezsprzecznie mocniej, niż wszelkie rozprawy naukowe i najrozumniejsze odezwy dziennikarskie.

Tak samo tedy jak idea narodowa, jest w naszej poezyi wielce pożądana idea demokratyczna. I jeśli idea ta nie jest żywotną kwestyą poezyi samej, to w każdym razie żywotną kwestyą zdrowszej moralności społecznej i popędu do szerszej demokratyzacji, zatem żywotną kwestyą naszego społeczeństwa. To też jest źle, gdy nasza najnowsza poezya, pogrążona w modernizmie, zapomina o tem i byłoby gorzej, gdyby Śląsk polski — lud lub inteligencja z ludu, pamiętająca co najmniej z dziadka swoje gminne pochodzenie — nie miał zadokumentować u progu szerszej działalności literackiej swojego pochodzenia i przekonania demokratycznego. (Dok. nast.)



Adam Sikora.

KOLENDA

(około roku 1866).

Pójdźcie chrześcijańskie narody
Do Betlejem na gody,
Tam w stajence Maryja,
Piękna jako lilija,
Zbawiciela powija.

Jaka to wielka uciecha!
Każdy się w szopie uśmiecha,
Pasterze się zbiegają,
Boskie dziecię witają,
Dary mu oddawają.

I ptaszęta się zlatują,
Bardzo pięknie wyśpiewują,
Rozlegały się głosy,
Gdy zaśpiewały kosy,
Aż pod same niebiosy.

Skowronek się wzniosł wysoko,
Że go ledwie dojrzy oko,
Tam swojemi wierszami,
Chwalił Boga nad nami,
Przytrzepując skrzydłami.

Drózd ze szpakiem bardzo wczesnie,
Obydwa poranne pieśnie
Bardzo pięknie nucili,
Których się nauczyli,

Wtenczas, gdy w gnieździe byli.

Pyka nuci tak wesoło,
Aż się głos rozlega wkoło,
Szczyciel w pięknym ubiorze,
Przy szopie na jaworze,

Chwali Boga w pokorze.

A słowik zaś na jasioniu,
Przy tem Bożem narodzeniu,
Miał sławnego gloria,
Pięknie głosik rozwija,

Tak aż uszy przebija.

Kukuczka na wierzchu sosny,
Ogłasza czas dobrej wiosny,
Wesoło sobie kuka,
Powiada, że to sztuka,

Wielbić Bożego wnuka.

Wróbel z poloczką na trześni,
Wyśpiewują nowe pieśni,
Dziw, dziw, dziw, dziw nad dziwy,
Zrodził się Bóg prawdziwy,

Będą dobre zasiewy.

A sikora: widzą, widzą,
Tu żadnego nie oszydzą,
Cofaj, cofaj się stara,
Nastanie nowa wiara,

Pim, pim, pinczararara.

Lastoweczka*), ranny ptaszek,
Przelatuje popod daszek,
Śpiewa: wiedz, wiedz, wiedz, wiedz,
Kto nie zechce uwierzyć,

Ten nie będzie wiecznie żyć.

Gwizdek**) z płotu na płot lata,
Gwizda uj, uj, ujtatata,
A brat jego ze synem,
Na szczycie za kominem,

Chwałę z niebios dziecinę.

A nasz strzyżyczek***) maleńki,
Włazł przez szparę do stajenki,
Tam po jasełkach furka,
Pięknie dzieciątku ciurka:

Polskiego mazurka.

Gołąb przy nim pogruchuje,
Synogarlica cukruje,
Cukruj, cukruj dzieciątku,
Cukruj zaraz z początku,

Papeczkę niemowlątka.

Paw rozłożył śliczne piórka,
Znieważyla go przepiórka:
Ja parady nie chwalim,
Zaraz ci je podpalim.

Ej podpalim podpalim.

Wszystkie ptaszęta śpiewały,
Stwórcę swego wychwalały,
Za wierszem dokonany,
Stary jastrząb z bocianem
Zawsze powiedział Amen.



Emanuel Grim.

DO BRACI SŁOWAKÓW.

Do Braci wołam, ciemżonej Braci,
Niech mężnie znosi tyranów katusze
I niech nadziei w lepszy byt nie traci,
Niech serc nie gubi w zwątpień zawierusze,
Lecz niechaj wierzy w jasne swobód zorze,
Niech śmiało płynie przez wzburzone morze!

*) = jaskółka, **) = chwistek, ***) = czyżyk.

Do Braci wołam, katowanej Braci,
Niech życie łoży za ojców swych prawa
I choć się nurza w jej krwi sztylet kaci,
Niechaj o wolność w walce nie ustawa,
Bo kiedyś miną i bezprawia dzieje,
Wszak się nie zawsze krew Słowian poleje!

Do Braci wołam, krwią broczącej Braci,
Niech chętnie znosi za wolność ofiary,
Niech w poświęcenia swą duszę bogaci
I niech pamięta, że czuwa Bóg stary,
Że ten Bóg stary u Swoich ołtarzy
Wolnością ludy słowiańskie obdarzy!...

○ □ ○

DO MICKIEWICZA.

(W dzień pięćdziesięcioletniej rocznicy śmierci Włeszcza wygłoszone).

Dziś półwiek mija,
jak spocząłeś sobie
Po zdradach losu
i po walce życia...
Smutne Twe życie,
boś był od powicia
synem niewoli,
żyłeś w niedoli,
Aż spocząłeś w grobie...

Płynąłeś wolno
wśród burz zawiei
Na kruchej łódce
przez zdrad pełne życie...
Zewsząd czyhały
na Cię losy skrycie
ale Tyś mężny,
duch Twój orężny,
Nie tracił nadziei...

Musiałeś rzucić
ojczyste niwy
I pójść w wygnanie
nad brzeg Sekwany...

Czemu Cię ścigał
los srogi, mściwy,
Czemu wydzierał
kraj Twój kochany?...

Boś Polskę kochał,
tego nie wolno,
Boś wolność kochał,
a to dziś grzechem...

Kochałeś wielu,
bo miliony,
Za milionyś
znosił katusze,
A gotów byłeś
poświęcić duszę,
Byle podźwignąć
kraj udręczony...

Więc miliony
dziś wielbią Ciebie,
Mali, dorośli,
biedni, bogacze...

Każdy ze smutkiem
po Tobie płacze,
Lecz poi z dumą
spojrzenie w niebie...

Z tęsknotą w sercu,
z bolem na twarzy
Patrzałeś biedny
w ojcyste strony,
Widziałeś duszą
nasze zagony
I nasze bory —
nasz kraj uroczy,
A wtedy miałeś
łez pełne oczy,
Wtedy mówili:
Adaś znów marzy...

Zasnąłeś Mistrzu!
Ostatnie słowa
Nim Ci się zwały
zwolna powieki

Do snu błogiego,
bo snu na wieki,
Wyrzekłeś cicho:
Polsko bądź zdrowa...

Ciesz się, o Mistrzu,
bo już Twoje pieśni...
Powtarza Polska
jak długa, szeroka...
A lud w nie wierzy,
jak w słowa proroka,
boś wieszczem tego
ludu biednego,
O nasz królu pieśni!
O spojrzij na nas!
Działwa śląskiej niwy
Hołd Ci zanosi
ubogo, lecz szczerze...
O przyjm to nasze
uczucie w ofierze,
które z serc płynie,
dziś, w tej godzinie
I bądź niem szczęśliwy...

□ □ □

CUDZE CHWALICIE...

Chwalicie Renu
rozkoszne równiny,
Urocze skały,
które piersią porze...
Błękity włoskie,
szczytne Apeniny,

Fiordy szwedzkie
i burz pełne morze?...
Wszystko wspaniałe,
lecz bardziej wspaniałe
Krasi się Wisła
i Beskidu hale...

□ □ □

PIEŚŃ ZBÓJECKA Z „ONDRASZKA“.

Zbójem warto dziś być w świecie,
To najlepsze życie,
Choć nieszczęście czasem gniecie,
Żyjem wyśmienicie... hu ha!

Las mieszkaniem, niebo strzechą,
Wiatr przyjaciół stary,
Wkoło piosnek naszych echo
I wesołe gwary... hu ha!

Nie masz jak zbójckie życie,
Pełno wciąż swobody,
Wódka leje się obficie,
Każdodziennie gody... hu ha!

Zbój nie sieje, zbój nie orze,
Nie zbiera w jesieni,
Wszystko, co w cudzej komorze,
Będzie miał w kieszeni... hu ha!

Zbójem warto dziś być w świecie,
To najlepsze życie,
Choć nieszczęście czasem gniecie,
Żyjem wyśmienicie... hu ha!



Józef Mucha.

JAŚKOWA DOLA.

Królowa zimy w biały całun ubrała ziemię uśpioną...
Idzie poważna, mroźna i ponura, idzie wśród jęków grudniowego wichru...
Na czole jej błyszczy dyadem z zamarzniętego kryształu, we włosach
śnieżne błyszczą brylanty...

Idzie... Skinęła ręką... Zahuczał mroźny wichur, zajęczał potężnie i wzbił
w górę obłok śniegu. Igra z nim i bawi się, pomrukując z cicha.

Umilkł wreszcie i położył się u stóp mroźnej królowej, aby na jej skinienie
zerwać się na nowo... A ona idzie dalej posępna i chmurna. Pod jej stopami
skrzą się śnieżne isierki brylantowym blaskiem.

Wieczór to mroźny...

Wiatr ustał, a białe płatki mokrego śniegu zaczynają miotać w mroźnym
przestworzu.

Dachy niskich chałup uginają się pod białym całunem. Wszędzie głucho
i pusto. Pusto i głucho między wiejskimi opłotkami. Tylko szyby niskich okien
błyszczą mdłym światłem.

Pusto wszędzie, boć to wieczor wigilijny, dzień szczęścia i radości. Dzień
to najweselszy w całym roku, bo u odświętnie ubranego stołu, gromadzi wszystkich
członków rodziny.

A na dworze wichur jęczy i sypie tumanami mokrego śniegu. Tam w od-
dali u skraju lasu, chatka stoi, mała, niska i samotna, jak sierotka na Bożym świecie.
Przez powleczone mrozem szyby dobywa się z trudnością małe, bledziutkie świa-
telko. Nie słychać z chaty tej niskiej gwaru wesołości. Cisza tam panuje bezduszną,
jakby w krainie śmierci, bo tam nikt się nie cieszy, nikt nie raduje, nikt kolęd
nawet tych rzewnych nie śpiewa.

Chata to biednej wyrobnicy Marty, co tylko z litości ludzkiej i miłosierdzia
żyje Bożego.

Chata to mała, uboga. Odrapane i świecącym pokryte mrozem ściany o niedostatku świadczyć się zdają.

I nie inaczej. Wejdzmy do niej na chwilkę, a przekonamy się, że nikt tu się cieszyć nie może na dniu tym wigilijnym.

Marta, po stracie męża, który ją utrzymywał, sama nie mogąc już pracować zdać się musiała na miłosierdzie bliźnich i opatrność Boga.

Gdyby też tylko o nią chodziło! Marta gotowa była wtedy wziąć kij zebraczy w rękę i udać się na wędrowkę i siedząc gdzieś pod kościołem, z pieśnią pobożną na ustach prosić przechodniów o jałmużnę.

Ale wnuka miała, wnuka sierotę. Lat miał dziewięć niespełna, a Jaś mu było na imię.

A jakież to dziecko było cudowne! Latem, bywa, stara Marta wyjdzie na pole, by obrobić zagonik swój maleńki, który jej któryś z litościwszych sąsiadów wynajął — to Jaś i z nią idzie. Bywa — usiedzie sobie na kępcie pod cieniem smętnych brzoź lub wysmukłych topoli i zapatrzy się na słońko Boże lub na ptaszka nurtującego w lazurowym przestworzu.

Patrzy i patrzy godzinami całemi i nic go z zadumy wyrwać nie potrafi. Dopiero głos Marty, wołającej na niego, że trzeba już powracać do chaty, budzi go z tych dziecinnych rozmyślań.

To znowu nieraz dobędzie swej prostej fujarki, a jak grać zacznie, tak dziwnie, tak smętnie i żałośnie, to aż ten i ów przystaje ze zdumieniem, by słuchać tego Jaśkowego grania, co i serce dreszczem przejmuje, to znów do płakania porywa. I dziwili się ludziska temu Jaśka usposobieniu. Ten i ów dorzucił z cicha, że djabeł w nim jakiś siedzieć musi, że nie samowity, lub, że mu się coś na rozumie popsło.

To drugie przypuszczenie zwyciężyło we wsi i odtąd biednego Jaśka nikt inaczej nie nazwał, jak tylko durnym Jasiem.

Tak mijał rok za rokiem a durny Jasio rósł w lata, ale nie w siły bynajmniej. Błady i mizerny jak trzcina, z ceglistymi wypiekami na twarzy, był Jaś przedmiotem strapienia i trosk dla biednej Marty.

Nadszedł czas, kiedy Jasia trzeba było oddać do szkoły. Ubrała go Marta jak mogła, obmyła i bujne przczesała włosy i zaprowadziła do szkółki. Stary nauczyciel pokiwał tylko głową, zadał chłopcu kilka pytań i rzekł do staruszki:

— „Weźcież go z sobą nazad, dobra kobieto, bo się wam chłopczykso w szkole na nic zmarnuje. To nie dla niego, nie dla niego.“ —

Westchnęła kobiecina i wzięła Jasia napowrót, bo i cóż robić miała?

Zdolny był, pojętny nad wyraz, ale cóż, kiedy tak mizerny, tak wąły.

Na strychu znalazła Marta starą książkę. Były to Dzieje Polski z obrazkami. Na tej książce uczyła czytać wieczorami swego chłopca. Ale Jaś takie okazywał zdolności, że niedługo potem potrafił się obywać bez jej pomocy. Ba nawet takie

starej Marcie zadawał pytania, że biedna kobieta tylko usta ze zdziwienia otwierała, nie mogąc na Jaśkowe pytania żadnej w swym prostym rozumie znaleźć odpowiedzi.

— „Babuniu, opowiedzcie mi co o tych husarzach polskich, tych z temi dużemi skrzydłami!” —

— „Et, dałbyś spokój — odpowiadała wtedy z niecierpliwością kobiecina. — Zawsze ci tam jakieś głupstwa łązą po głowie.“

— „Babuniu, to nie grzech zabijać Moskali, albo Niemców, bo przecież oni nam Polskę zabrali. Prawda? Oj, jaby tak chciał urość i być dużym, żeby móżdż iść na wojnę. — A czy daliby mi także takie duże skrzydła, jak to mieli husarze? Pozabijałbym wtedy wszystkich Moskali.“ —

— „W imię Ojca i Syna — zęgnąła się pocziwa kobiecina. Cóż też ty wygadujesz!? A widziałże to świat! Jemu takiemu mizerakowi, wojny się zachciewa!“

Tymi wykrzyknikami skonfundowany chłopiec krył się zwykle w kącie, albo rozmyślał, albo czytał owe Dzieje Polski z obrazkami, po raz setny już może...

W zimie zaniemógł Jaś poważnie. Cera jego stała się teraz z żółtej dziwnie biała i przejrzysta. Zaczął go dusić suchy kaszel, oznaka choroby piersiowej.

Gryzła się tem niewymownie pocziwa Marta i popłakiwała po kątach. Wreszcie, a było to w przeddzień wigilijnego święta, dostał Jasio silnej gorączki, która go pozbawiła zupełnie przytomności. Gorączka potęgowała się coraz bardziej. Wreszcie w wigilijny wieczór wzmogła się jeszcze więcej. Marta, siedząc przy nieopalonym piecu, patrzyła z niepokojem na konającego wnuka i popłakiwała z cicha.

— „Boże — myślała — wszak to dziś dzień Twego przyjścia na świat! Wszyscy się cieszą i radują, czemuż ja jedna mam dzisiaj płakać?“

A wiatr na dworze wył przeraźliwie zionąc dokoła lodowem zimnem. Pokryte mrozem ściany chaty błyszczały straszliwie w bladym świetle palącego się łuczywa.

Wtem wiatr z sąsiednich chat przyniósł pierwsze dźwięki radosnej kolędy:

„Bóg się rodzi, moc truchleje,
Pan niebiosów obnażony“.

Łzy sznurkiem puściły się kobiecie po pomarszczonej twarzy.

W tem Jaś westchnął głęboko i otworzył oczy. Uradowana kobieta pobiegła do niego.

— Boże Ci dzięki! — wyszeptwała.

Ale Jaś jej już nie poznał; błędnymi oczyma wodząc po nagich ścianach nie zdawał się nic z tego rozumieć, co się wokoło niego działo.

Wreszcie zapatrzył się uporczywie w jeden kąt izby.

— Husarze — wyszeptał ledwie dosłyszalnym głosem. Polscy husarze. Ach, jakie duże skrzydła mają! A ten srebrny rycerz na przodzie...

Ach, to Matka Boska — wyszeptał wskazując palcem na ścianę. Królowa Polski w jasnej koronie! A przy niej taki! Ha, to Piast, stary kołodziej!... Ach,

przypinają mi skrzydła! Będę się bił, będę się bił!... Trąby grają... Idę do walki za ojczyznę... Ach, ach... I opadł bezwładnie na poduszki. Oczy zaszyły mu mgłą i zamknęły się znowu...

Konwulsyjne chrapanie dobyło się z jego piersi... Sztywniał i blednął coraz więcej... Po chwili już nie żył...

Królowa Polski wzięła go do siebie...

Marta ukryła twarz w dłoniach i przepłakała noc tę wigilijną.

Nazajutrz rozeszła się po wsi wieść, że ^{*} ^{*} durny Jasio skończył tej nocy. —



Bernard Kotula.

CZY PRZEZIMUJE?

Nieraz jesienią idąc po ściernisku,
Spostrzegam zwiędłe, przygnębione kwiecie —
Pod dachem szronu chylące się nisko;
Wkrótce je całun zimowy przygniecie.

Czy kwiatek śniegi przetrwa, zimna, lody?
Czy się przebudzi z nadchodzącą wiosną?
Czy też z korzeni wystrzeli pęd młody?
I czy z lodygi barwy cudne wzrosną?

Lub czy je zimno okrutne zabije,
Co ziemię ściśnie gęstą masy rotą?
Albo je z gleby ręce wyrwą czyje?
Albo je nogi rubaszne rozgniotą?

Kwiecie wędnący, błogosławię tobie!
I my wśród zimy śpimy w ciemnym grobie.
Lecz jeśli wiosną zakwitniesz na łanie,
Prędzej uwierzę w nasze zmartwychwstanie.



Jan Łuka (z Gór. Śl ska).

NA NIWIE ŚLĄSKIEJ.

Twarda jest praca
Na wielkiej śląskiej niwie,
Niewdzięczna ze wszech stron;
Trud nie popłaca,
Gdyż ugór da leniwie
Niewielki tylko plon —
Twarda jest praca!

Lecz tak nam padło,
Że w losów grze niestełej
Z pracą nie możemy stać;
Więc wzięwszy radło
I pług i siew dojrzały,
Orać nam wciąż i siać —
Bo tak nam padło.

Wszak wiemy o tem,
Że przecie trud ofiarny,
Złożona ziemi dań,
Da kiedyś potem
Owoców plon nie marny,
I będzie przyszłość zań —
Wszak wiemy o tem.

Więc stać nie wolno,
Choć trudy są dokoła
I złudzeń pada cios!
Gdy pracą zdolną
I w pocie swego czoła
Naprawiać trzeba los —
Nam stać nie wolno!

Zakwitnie praca
Przez pilność podwojoną!
Włożony dzisiaj trud
Choć nie popłaca:
Do pracy niech złączoną
Potęgą stanie lud —
Zakwitnie praca!

Każdy w swem kole,
Gdzie jeszcze głucho, czarno —
Niech ugór orze wkrag;
Na nową rolę
Niech zdrowe sieje ziarno
I nie żałuje rąk —
Każdy w swem kole!

Do pracy żywo
I dzielnie i życzliwie
Niech wszystek stanie lud,
A będzie żniwo
Na wielkiej śląskiej niwie,
I wróci nam się trud
Przez pracę żywą.

○ ○ ○

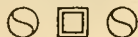
NA ROZESTANIE.

(Do S.)

Wiem, iż łódź moja wędrowną
Za kilka płochych chwil,
Gdy przyjdzie fala ponowna —
W niewrotnym obiegu
Popłynie setki mil
Do nowego brzegu.

Nie zawsze będziem tak blisko.
Oto wypadnie nam
Rzucić to lube ognisko,
By wejść niezadługo
Do różnych życia bram:
Ty w jedną, ja w drugą.

Lecz potem, gdy nas już obu
Rozdzieli długi czas —
Gdy już nie będzie sposobu,
By wrócić z manowca —:
Czy wspomnisz kiedy raz
Błédnego wędrowca?





ROZWÓD BARTKA Z MAGDĄ.

KROTOCHWILA W TRZECH ODSŁONACH. SKREŚLIŁ FRANCISZEK CHLEBOWCZYK.

OSOBY:

BARTEK, mąż.

DOZORCA WIĘZIENIA.

MAGDA, żona jego.

SŁUŻĄCA u sędziego.

SĘDZIA.

Rzecz dzieje się w mieszkaniu Bartka i w kancelaryi sędziego.

ODSŁONA PIERWSZA.

W mieszkaniu Bartka.

SCENA PIERWSZA.

Bartek (sam).

Bartek. Miałem lat 27, gdym się ożenił z Magdą, ładną dziewczyną, o 3 lata młodszą odemnie. Pierwsze miesiące, tak zwane miodowe, przeżyliśmy w największej zgodzie, ale dzisiaj to już wszystko inaczej; dziś to już prawdziwe piekło. Z początku mieliśmy małe utarczki, a to bardzo rzadko, ale obecnie powtarzają się one często gęsto z największą zaciętością... Wiem dobrze, że wszystkoby było inaczej, gdybym ja Magdzie oddał całą kasę, by mogła dowolnie nią szafować, ale ja tego nie chcę uczynić i nie uczynię pomimo jej gderañ i różnych zarzutów... Jaki też to weźmie koniec, to już tajemnicza zagadka... (stół zadumany, zwrócony tyłem do drzwi).

Magda (wpadając z gniewem do pokoju, a widząc Bartka zadumanego, krzyczy głośno...)

SCENA DRUGA.

Bartek, Magda.

Magda. Ty urwiszu! cóż tak stoisz zaboczony, czy znów masz chętkę do kłótni?... A patrzcie go!...

Bartek. (Odskakuje przestraszony od drzwi i podchodząc do niej mówi:) Ależ kobieto, ależ Magdo, cóż ci się znowu stało?! gadajże! (Ona odwraca się tyłem do niego, a on skubiąc ją za rękaw mówi dalej.) Żono, czyś oniemiała? (A gdy ta wciąż milczy odwrócona od niego, dodaje dla postrachu) a więc, kiedy nie chcesz gadać, to się wyprowadzę do sąsiada. (Podchodzi do drzwi, ale w połowie drogi zawraca i podpierając boki mówi ze śmiechem:) Ha! ha! jak to dobrze; babsko mi na dobitkę ogłuchło, a może i oniemiało... ha, ha, ha!...

Magda (dotknięta ostatnimi słowami, odwraca się raptownie i krzyczy:) Już nie wytrzymam; jutro spakuję moje rzeczy i powrócę do rodziców...

Bartek (obojętnie:) Ależ to tak, moja żonusi, łatwo nie pójdzie. Najpierw musisz się zapytać księdza i sędziego... a potem...

Magda (bardziej podrażniona przerywa mu:) Co-o-o? a patrzcie go; sędziego mu się zachciewa!... Chciałbyś może wziąć rozwód! O patrzcie się, jaki on mądry... A więc tak sobie umyśliłeś?... takby ci się podobało?...

Bartek (jak wprzód obojętnie.) O rozwodzie nie mówię, ale jeśli chcesz, to...

Magda (doprowadzona obojętnością męża do pasyi:) Nie wstrzymuję cię, tylko dalej, ja także pójdę z tobą do sędziego...

Bartek (spokojnie:) Tylko się tak bardzo nie śpiesz; mamy czas do jutra, bo dziś już późny wieczór...

Magda (wychodząc do drzwi na prawo). A więc dobrze; ja już pójdę spać, bo już prawie ciemno, a rano wybiorę się w podróż do sędziego (zawiera drzwi za sobą.)

Bartek (podchodzi do tych samych drzwi i otwierając je, woła za Magdą:) A wyśpij się dobrze, bo to może już ostatni raz w moim domu. (Zamyka drzwi i mówi dalej). Ja tymczasem pójdę sobie na szklaneczkę piwa. (Bierze kapelusz i łaskę i wychodzi drzwiami na lewo).

Zastona spada.

ODSŁONA DRUGA.

W mieszkaniu Bartka.

Bartek (stoi przed zwierciadłem, zapina surdut, poprawia krawatę i pokręca wąs, po skończeniu tego wychodzi na środek i mówi:)

Bartek. Wreszcie jestem gotów... ale, czy też Magda już wstała? (Podchodzi do drzwi na prawo i wkładając w nie głowę woła). No stara! jeżeli chcesz iść do sędziego, to wstawaj, bo omnibus odjedzie i nie dostaniemy się do miasta, a piechotą nim zajdziemy, to już nie zastaniemy żadnego urzędnika — (a gdy ta nie odpowiada woła jeszcze raz): Magdo wstawaj! (a zamykając drzwi, mówi): A! już zapomniała o sędzi, bo gdzie jej lepiej, jak nie przy Bartku... ale przynajmniej napędzę jej strachu (podchodzi do stołu, wkłada na głowę kapelusz i, biorąc łaskę, wraca do drzwi na prawo, stukając w nie łaską i woła.) No Magdo, czyś już gotowa?...

Magda (otwiera drzwi i, wychodząc przez nie, mówi ze złością). Już jestem gotowa, a więc chodźmy rażno, bo czas uchodzi...

Bartek (stoi przed nią, wsparty oburącz na kiju, i mówi wolno i spokojnie:) No, no Magdo, czy tak ci się śpieszy?... Ale pamiętaj, abyś nie płakała, bo przysłowie nasze mówi: Do czego się bardzo śpieszy, to nas nie wiele ucieszy...

Magda (rozgniewana mówi z werwą) Baj baj tak dalej, ale ja już idę, bobym, jak mi się zdaje, z tobą nie skończyła... może masz jeszcze od wczoraj „ptaszki“ pod czapką, żeś taki wesoły...

Bartek (jak wprzód). Mylisz się Magdo, że mam ptaszka pod czapką. (zdejmuje kapelusz i mówi dalej.) Gdzie go mam?

Magda (wybuchając ze złością:) Już nie wytrzymam, już idę do sędziego...

Bartek (przerywa jej, wkładając spokojnie kapelusz na głowę.) No, no! tak ci to śpieszno do sądu?! a więc dobrze, chodźmy; dobrze, że się już to raz skończy.

Magda (podechodzi do lustra, poprawia chustkę na głowie i mówi:) A więc chodźmy! (wychodzą ona pierwsza, on za nią).

Zasłona spada.

ODSŁONA TRZECIA.

W kancelarii sędziego.

Sędzia (siedzi za stołem i pisze; za chwilę słychać dzwonek w przedpokoju, więc podnosi głowę i woła):

Sędzia: A któż tam?

Służąca (wchodzi i pyta:) Panie sędzio, a który pokój mam przygotować dla naszych gości?

Sędzia (mruczy): Hm, hm, który pokój? (po namyśle). Przygotuj ten, w którym się mieści fortepian; tam będą się mieli goście czem zabawić po obiedzie... (służąca odchodzi, a sędzia pisze dalej; po chwili odzywa się znów dzwonek; sędzia odkłada pióro i woła ze złością:) A cóż tam znowu?

Służąca (wchodzi i zgłasza:) Panie sędzio czekają tutaj jakiś chłop i kobieta i chcą, zebym ich wprowadziła; czy można?

Sędzia (bierze za pióro i pisząc, mówi:) Idź i powiedz im, aby weszli. (Służąca odchodzi i po chwili wpuszcza Bartka i Magdę na salę, a sama cofa się; sędzia odkłada pióro i wkładając na nos okulary, przypatruje się przybyłym i pyta:) Czego chcecie? (a gdy ci milczą) Gadajcie pociście przyszli? (Magda trąca łokciem Bartka, a Bartek Magdę, jeden drugiego popycha naprzód, aż sędzia zniescierpliwiony woła:) Do kroćset tysięcy czarnych, będziecie sami gadać, czy mam posłać może po ślusarza, by wam jadaczki otworzył?...

Bartek (trącając Magdę łokciem mówi:) No gadajże Magdo, pociś przyszła; dosyć długo milczałaś, a więc gadaj!

Magda (urazona i rozgniewana:) I tyś bardzo dużo mówił, hm, hm jaki ty mądry...

Sędzia (przerywa jej:) Cicho, nie kłócić się! Mąż niech mówi wprzód.

Bartek (wskazując na Magdę): Musiałem mojej żonie towarzyszyć...

Magda (przerywa mu:) Nie prawda, panie sędzio, to ja mu właściwie towarzyszyłam...

Sędzia (śmiejąc się, mówi:) Więc towarzyszyliście sobie nawzajem tu do mnie. Ale chyba, jak się mogę spodziewać, nie przyszliście powinszować mi nowego roku, lecz coś innego was tu do mnie sprowadziło? gadajcież więc, czego chcecie?!

Bartek (skrobiąc się za uchem:) Ja nie wiem, czego sobie moja żona życzy...

Magda (ze złością spoglądając na Bartka). A ja znów nie wiem, czego właściwie mój mąż chce...

Sędzia (śmiejąc się, mówi:) A więc obydwójcie nie wiecie pociście przyszli?! Ładna historia! Ja tymczasem każę was zamknąć każdego z osobna w komórce, gdzie będziecie mieli czas namyślać się pociście przyszli. Zaraz!... (Chwyta za dzwonek, ale Bartek chwyta go za rękę i mówi pośpiesznie).

Bartek. Panie sędzio! ja już wiem, już sobie wspomniałem, poco przyszedłem... (skroble się za uchem i spogląda z boku na Magdę). Chcę sprzedać grunt i chałupę, proszę przeto o paszport do Ameryki...

Magda (zaskoczona mową Bartka woła:) Panie sędzio! i mnie wystawcie paszport do Ameryki.

Sędzia (mówi ze śmiechem:) Nie kobieto, nic z tego nie będzie! Do Ameryki wolno tylko mężczyznom jechać; kobiet tam obecnie nie wpuszczają, bo ich tam już za dużo. Waszemu mężowi dam paszport do Ameryki, a wam do Afryki. Już piszę; zaraz dostaniecie... (Magda i Bartek spoglądają na siebie; Magda ociera oczy, a Bartek smutny i markotny mówi:)

Bartek. Panie sędzio! napiszą mi też paszport do Afryki...

Sędzia (niewzruszenie:) Nie można! W Afryce jest dużo mężczyzn, a więc nic tam po was. Nie żyjecie razem w zgodzie, a więc ja was muszę rozdzielić; wy pojedziecie do Ameryki, a wasza do Afryki...

Magda (przerywa mu:) A kto to powiedział, że my nie żyjemy w zgodzie?

Sędzia (do Magdy:) Już ja was wszystkie dobrze znam; że mąż chce być panem domu, to dlatego jest wam przykrym...

Magda (przerywa mu:) Ależ panie sędzio! mój mąż przykrym dla mnie? Nigdy w życiu! on mi był najlepszym i najłagodniejszym mężem... A chociaż chciałby być panem domu, to słusznie, bo ma do tego prawo: już w raju postanowił Bóg mężczyznę panem wszystkiego, co go otaczało...

Sędzia (zwrócony do Magdy). Na tem jeszcze nie koniec, że wy wszystkie chcecie nad mężami panować, ale wy uprzykrzacie im jeszcze życie, bo nie umiecie trzymać języka za zębami...

Bartek (przerywa mu:) Bynajmniej panie sędzio; moja żona jest najlepszą żoną w świecie, a co do języka, że ma taki ostry i prędko, to już nie ona winna...

Sędzia (nieubłagalnie:) Nic nie pomoże; paszporty dostaniecie...

Bartek. Ja nie chcę paszportu do Ameryki.

Magda (prędko:) Ja też nie do Afryki...

Sędzia (jak wprzód — odkładając pióro:) A więc dobrze; w takim razie powędrujecie oboje do kozy; każde do osobnej komórki na dwa dni na chleb i wodę (dzwoni.)

Bartek (wyciąga błagalnie dłoń:) Panie sędzio, zmiłuj się...

Sędzia (niewzruszony:) Nic nie pomoże!

Bartek (zbliżając się do stołu z wyciągniętymi rękoma:) Panie sędzio! zmiłuj się, zamknij nas przynajmniej w jednej komórce!

Magda (także wznosi ręce i przystępuje do stołu.) Panie sędzio! w jednej będzie dosyć miejsca...

Dozorca więzienia (wchodzi i mówi:)

Dozorca. Na rozkaz pana sędziego przychodzę...

Sędzia (do niego:) Proszę to głupie małżeństwo zamknąć każdego do osobnej celi dwa dni na chleb i wodę...

Magda (prosi:) Panie sędzio! zmiłuj się, a daj nas do jednej celi!...

Sędzia (nieubłagalnie:) Nie mogę, nie wolno kobieto...

Dozorca więzienia (do sędziego:) Panie sędzio, a czy zaraz ich zamknąć?

Sędzia (bierze pióro i pisząc, mówi:) Zaraz, w tej chwili!...

Magda do wyprowadzanego Bartka:) Zostań z Bogiem mój mężu, a nie gniewaj się na mnie! Jak powrócimy z więzienia, to się już więcej kłócić nie będziemy. Z Bogiem mój mężulku (podaje mu rękę)...

Zasłona spada.



Jan Sznurowski, Cieszyn.

1. DO ZIEMI RODZINNEJ.

Ziemio rodzinna, ziemio ukochana,
Od pnia macierzy dawno oderwana,
Na pastwę wrogów długo wystawiona,
Przez pobratymców zdradziecko gnębiona,
Dziś lud twój wierny ze snu obudzony
Staje w szeregu dla twojej obrony.

Długo gnuśnością grzeszyliśmy tobie
I ciężką dolę zgotowali sobie,
Dziś z snu długiego wszyscy powstajemy
I głos błagalny do niebios wzniesiemy:
„O ojców naszych, wszechpotężny Boże,
Niechaj Twa łaska powstać nam pomoże!”

Ojciec niebieski wołanie usłysz,
Ze swą pomocą swym synom pośpiesz.
Powstaniesz, ziemio, całkiem odrodzona,
Od wszystkich swoich wrogów uwolniona.
Wtenczas modlitwę dziękczynną wzniesiemy,
Wolności twojej strzedz pilnie będziemy.

A kiedy Polska na bój nas zawoła,
Wszyscy staniemy, jako mur, dokoła.
Walczyć będziemy za wolność Ojczyzny
I w niebo wznosić otrzymane blizny.
I znowu w niebo uleci wołanie:
„Daj wolność Polsce, Śląsk jej zwróć, o Panie!”



2. NIEFILOLOGOM.

Na co Bóg stworzył grekę i łacinę?
Nie bierz mu za złe, bo stworzył chininę;
Kiedy na grece febra cię chce zdławić,
Możesz zło zaraz chininą naprawić.

○ ○ ○

3. MUCHA.

Leciała mucha, leciała,
Nikogo słuchać nie chciała.
Kiedy na ośle tak leci,
Ugrzęzła w pajęczej sieci.
Jaka nauka stąd, dzieci?

○ ○ ○

4. „WYĆWIKĄ“ ŚLĄSKA.

Bili, bili,
Nie szczydzili,
Nie chwalili,
Nie tulili,
Wyrzucili,
Ale z ciebie coś zrobili!

○ ○ ○

5. MIŁOŚĆ.

Miłość, bracie, jest wyznaniem,
Co najwięcej dusz zyskało,
Miłość jest ofiarowaniem,
Co się zawsze odbywało.
Kto słuszności mi nie przyzna?
— Co ołtarzem, kto kapłanem?
Wół ofiarny, to mężczyzna,
Ginie w sercu ukochanem;
Luba tę ofiarę składa,
A ofiara: „śpiesz się“ — gada.

□ □ □

Wł. Górnikiewicz.

Pasterz jesienne pali ogniska
szare się dymy wiją...
już puste pola i głuche rżyska
niby w obsłony kryją...

6. DAWNIEJ A DZIŚ.

Dawniej Kasię i Marynę
Nie zmieniały wciąż czupryny,
Włosów swych nie przypiekały,
Lecz „na gładko“ się cześlały.
Dawniej Zuzki i Haleczki
Wyglądały jak laleczki,
Choć nie znały mikstur żadnych,
Ani pudru, różów zdradnych.
Głowę prosta chustka kryła,
Chociaż nie z jedwabiu była.
Strój swój śląski szanowały
I na roli zostawały.
Młódź, szanując te przymioty,
Nie bawiła się w zaloty,
Wkrótce sprawę ułożono
I z ochotą się żeniono.

Ale dzisiaj „fajli Zuzi“
Kilo pudru ma na buzi,
Włosy strasznie nastroszone,
Uszy kłódką obciążone ;
(Gdyby usta nią zamknęły,
Toby znośniejszemi były.)
Suknie „pańskie“, powłóczyście,
Słowem, to straszdyło czyste;
Gdy na głowę skrzydło wsadzi,
To ostrożność czmychnąć radzi.
Jak papuga „gutnamt“ klepie,
Czy przed państwem, czy to w sklepie.
Na wsi za nic nie zostanie,
Bo tam chłopki, a nie panie.
Choć „galanów“ sto już miała,
Jeszcze „panną“ pozostała...

JESIENIĄ.

Słońce zachodzi w szacie z purpury
i krwawym blaskiem bucha,
palą się lasy, domy i góry...
cisza zstępuje głucha...

Zachód na ziemię zlewa półcienie,
barwi ją pomrok szary...
zwolna znikają blaski, płomienie,
a z nimi gasną pożary...

Zza gór księżyc wstaje twarz trupia
bezmyślnie w ziemię patrzy...
zimne, stalowe oczy wylupia,
jak człek, gdy w śnie majaczy...

Cicho szeleszcząc, liście z drzew spada
i ścięte ziemi łoże...
w blaskach miesięcznych żółta kaskada
pali się... zda się, że gorze!...

Z nad wód zwierciadeł wstają mgły białe
po ziemi cielska włoka...
snują się cicho, jak duchy wstałe
i ciągną w dal szeroką...

o o o

LEĆ...

Leć pieśni i dźwięcz
wśród złotych tęczy,
Na skrzydłach mgieł,
wśród nieba szkieł...

Leć pieśni i dzwoń
wśród śląskich błoń,
Leć z naszych dróg
do Polski nóg...



Józef Lebledzik.

HELIOGABAL.

Tragedya w jednym akcie.

Scena 1.

(Heliogabal, 18-letni Cezar rzymski, mocarz milionów ludzi, władca rozległych krajów siedzi na tronie w całym przepychu swego majestetu. U stopni tronu po obu stronach najprzedniejsi powiernicy dworu z wieńcami mirtu na skroniach, niżej na sali grono stoików, filozofów despotyzmu, poetów i dziejopisarzy nadwornych wielbieli jego sławy, z wieńcami laurów na głowach, dalej drużyna dworzan i stołowników królewskich u wnijścia pretoryanie z toporami i pękiem różg).

Zausznicy Cezara:

Królu wszechwładny,
Mocarzu ziem bez końca;
Jowiszu gromowładny,
Panie nieba i słońca!
My wierni do stóp twego tronu
Ślemy hołdy dziękczynne.

Stoicy:

Mocarzu, synu mądrości,
Tyś przewyższył w lot Solona;

Z rozumu, ducha bystrości
Słyną rządy, twa korona!
Ciebie hojna dłoń Minerwy
Darami szczyty bez przerwy.
My do kornego pokłonu
Czci dołączamy objawy powinno.

(Odzywają się w duszy Cezara wspomnieniem głosy pomordowanych pokoleń):

Monarcho krwiożerczy,
Tyś wysączył naszą krew;
Nasz okrzyk bluźnierczy
Cię dręczy, ściga nasz gniew!

Głosy ujarzmionych narodów:

Ha, ty zjadliwa gadzino,
Tyś zagrabił nasze włości;
Nasze jęki tu wciąż płyną,
Gryzą naszych trupów kości!

Głosy zhańbionych żon:

Naszych serc, dusz trucicielu,
Tyś nam wydarł naszą cześć,

Ognisk, rodzin niszczycielu;
My łąą krwawą
Ciebie palim, musisz zgnieść!

Głosy katowanych dzieci:

Mocarzu, cóż my ci winne,
Że nam w duszę sączysz jad;
My bezbronne, my niewinne,
Za co dręczy nas twój kat!

(Cezar blednie, drobne krople potu występują
mu na czoło, ogarnia go słabość; wstrząsa głową,
by przytłumić, odepchnąć, stracić ze siebie
te mary).

(Świta dworska, widząc zmianę w obliczu króla,
myśli, że pochwały i pochlebstwa go wzruszyły).

Poeci nadworni:

Monarcho, bogów kochanku,
Światła i muz Apollinie;
Twa sława od zórz poranku
Aż po mrok zachodu słynie.
My natchnieni hymny wieszczę
I ody ci śpiewamy wyżynne.

Poeta ujarzmionego narodu:

Precz, podli pieśniarze,
Służalcze precz twarze;
Ja mu zanucę złowieszczę
Pieśni, aż zastygnie krew.
Precz dymy kadzielne,
Prawdy mu zawtórzę śpiew!

Poeci nadworni:

My prawdy mu nucim pienia
I czci, sławy, uwielbienia,
Nasze pieśni nieśmiertelne.

(Doń).

Zgiń, tyś synem jest śmierci,
Grot niech pierś ci przewierci!

Cezar:

Zakuć w dyby, zgnieść zuchwalca,
Zdeptać, zgniebić jak padalca!
Hej, oprawcy z nim na śmierć,
Niech zginie bluźnierca!

(Porywając go zbrojni pretoryanie, wloką przez
salę, popychają, biją).

Poeta ujarzmionego narodu:

Cesarze, zniszczysz mi ciało,
Ale nie zgnebisz mi serca;
Mój głos władnie milionem

I zatrzęsie twoim tronem,
Ty zemsty nie ujdiesz cało!

Dziejopisarze Cezara:

Monarcho, twa dłoń sprawiedliwa,
Twej potęgi słuszny gniew
Opornych karze, zrównywa
Z ziemią nienawiści siew!
My dzieje twych czynów
Wyrzeźbim w ksiąg marmurze,
A buntu Kainów
W wzgardy zanurzym chmurze.

Dziejopis ujarzmionego narodu:

Królu, sfałszować dzieje
Podoba bezprawia moc,
Jak dzień w mroczne zawieje
Pograża żjadliwa noc.
Ale ludy ujarzmione
W duchu zachowią ucisku żar,
Z chwały odrą twą koronę,
Wiekom przekażą twą srogość kar.

Dziejopisarze Cezara:

Słyszysz królu głos przestrogi,
Jakim miota niewoli syn!
Zetrzeć, wytepić do nogi,
Zgładzić musim nienawistne plemię,
By utrwalić oręża czyn;
Wypędzić musim, wydrzeć im ziemię!

Cezar (z szałem gniewu):

Precz, niewolniku,
Z boskości mego oblicza,
Ja ci wyrwę z piersi głos!

(Wpadają oprawcy, porywają nową ofiarę, znęcając się nad nią włodarz na śmierć).

Dziejopis ujarzmionego narodu:

Cesarze, nie ujdiesz bezkarnie
Odwiecznej fatum ręki,
Ty zginiesz haniebnie i marnie
Wśród ciała, ducha męki!

Cezar:

My boskość — Cezar,
Wcielenie dziejów rozumu,
Władca całego ziemi okręgu,
Pan wojsk, poddanych tłumu
Niezliczonogo
Jak piasek w morzu,

Imperator światowładnej Romy —
Kornym sprawimy igrzyska,
Opornym zagładę, rzeź, pogromy,
Więzy, ruinę, zwaliska —
My Jowisz — Cezar,
Tytanów pogromca
Państwa Rzymian
Niezlomna straż!

Głos służalczy:

Nieśmiertelnemu
Władcy niebios i ziemi
Czołem uderzmy,
Padnijmy na twarz!

(Wszyscy obecni biją pokłony przed majestatem,
padają na ziemię, nurzają się w prochu u stóp
tronu).

Głosy gladiatorów poległych:

Ave imperator
Morituri te salutant
Caesar!

Spiewy pomęczonych za wiarę chrześcian:

Dixit Dominus Domino meo: sede a
dextris meis
Donec ponam inimicos tuos: scabellum
pedum tuorum
Dominus a dextris tuis: confregit in die
irae suae reges
Indicabit in nationibus, implebit ruinos
conquassabit capita in terra mu-
torum.

Scena 2.

(Syplalnia Cezara w niej panuje półmrok, w któ-
rego cieniach snują się widma blade i fantasty-
czne kształty, przerażające swą cichością, swem
technieniem zagrobowem, swą niemą boleścią,
wrytą na twarzy, — milczącą, lecz wymowną,
dreszczem zgrozy przejmującą skargą, która tkwi
w ich spojrzeniu i wyziera z zapadłych oczu
i płonie niszczącym ogniem w szeroko rozwar-
tych żrenicach. Na sofie, bogato i misternie ozdo-
bionej — lectus — usłanej kwileciem róż ze wschodu,
wydających aromatyczną, lecz silną, odurzającą
woń, spoczywa Cezar, Hellogabal, oczekując
z utęsknieniem, aż sen zamknie mu znuzone po-
wieki, nabrzmiałe od długotrwałej bezsenności).

Heliogabal (przymykając oczy):

Minęły czasy,
Owiane w mgły dalekie,

Gdym przez błonia, lasy
Pędził swobodny
Za zwierzem w pościgu.
Wtędym zasypiał w spokoju,
Strudzony na ciełe
Po dziennym, uroczym znoju,
W śnie-m miał ochłodę.

(Z goryczą).

Precz sny i mary
Minionych dni!
Jam Cezar potężny,
Świat przedemną drży
I tłum wojsk orężny!

(Pochyla się na sofie, chce zasnąć).
(Na wpół senny).

Widzę mgły... W nich się kłębi...
Niewyraźnie... Ha... cóż ja widzę...
Na szczycie blask...
Śnieżne góry drżą...
Legionów moich krocie...
Szumią proporce...
W zawiei burz okrzyki
Słyszę w głuchej oddali...
Ha... jakie okrzyki...
Ave Caesar...
Patrzę hen... gdzie ja patrzę...
W kształty wylęgle
Z czeluści gór,
Z pod drżającej ziemi
Płynące z chmur
Potworne...
Ruchliwe jak mrowie
Zemstą dyszące
Ciagną... dokąd ciagną...
Na mnie, Jowisza-Cezara...
Pochłoną mię... ja sam...
Czy ja sam... gdzie legiony...
Tam idą... idą na wroga...
Pod niebo... we mgły...
Kędy idą... w otlhanie...
Gór chmurnych... w lodowe kry...
Nikną... gdzie znikły...
W ziemię przepadły...
Pod niebo... we mgły...
Ha... zasłonił je kurz
Znikły w zawiei burz...
Ogarnia mię lęk!
Słucham... wre bój,

Grzmi oręża szcęk,
Kłębi się rój...
Patrzę... coś niewyraźnie...
Ha... nic nie widzę...
Słucham... nic nie słyszę...
Ciemność... cisza... zgroza... lęk...

Głosy złowieszcze:

Hej, Cezar drży!
Zginałeś Cezarze,
Legiony starte w pył,
Rozbite w puch,
Nie ujdiesz karze!

Cezar (z drżeniem w głosie):

Precz mary... puszczyki...
Cezar zginął...
Jam nie zginął,
Gromowładny!
Patrzę... z obłoków mgły...
Z pod ziemi idą,
Spływają z chmur
Wstrząsają dzidą
Z otchłani wychodzą gór...
Okrzyki... jakie okrzyki...
Błyszczą stal... oręż się skrzy...
Wracają... zwycięskie...?
Kto wraca... legiony...?

Głosy złowieszcze:

Zwycięski, potężny,
Zemstą dyszący,
Zemstą dyszący
Nieprześlągany,
Promienny, błyszczący,
By ciebie, Cezarze,
Zakuć w kajdany...
Ha, drżysz okrutny?...
Gdzie twa odwaga, moc,
Gdzie duch twój butny?...
Rozwiął się w ułudzie,
Pogrążył się w noc?...

Cezar (nieprzytomny z trwogi):

Wraca... legion nieszczęsny...
Płyne z pod ziemi,
Spada z chmur
Skrzydłami swemi...
Nieszczęście... Błyszczący...
Biada... książę narodu
Ujarzmionego

(Wpadają dworzanie, patrzą z przerażeniem, ci-
cho, osłupieli).

Przekleństwo... wychodzi z gór
Zemstą dyszący...
Gdzie się skryć...
Nieubłagany...
Uciekać... co tchu...
Mnie... Jowisza Cezara...
Zapadnąć się w ziemię...
Zakuć w kajdany...
Błagać litości...
Nieprześlągany...
Uciekać... dokąd uciekać...?
Na oślepie... w siną dal...
Gdzie moja moc...
Pod niebo... we mgły...
Do światowładnej Romy...
W otchłanie mórz
Do fal...
Kornym igrzyska
Do zórz...
Opornym pogromy
Okrzyki... oręż się skrzy,
Więzy... zwaliska!...

(W przestrachu toczy pianę z ust, obłądnym spo-
ziera wzrokiem, nie poznaje obecnych, drży na
ich widok, myśli, że to wróg).

Głosy złowieszcze:

Cezarze... daremnie...
Twój duch się miota,
Książę się zbliża
Straszny, zawzięty
Jak błyskawica.
Dopędzi w lot,
Promienny, święty.
Lśni mu żrenica,
Świsnął wiatrami,
Pędzi jak grot!

Cezar:

Pędzi... dokąd pędzi...
Straszny, zawzięty...
Na gór krawędzi
Zawisnął, zniknął...
Ha... spada jak grom
Chce porwać...
Promienny, święty
O zgrozo! ja sam!

Gdzie legiony, ma moc!?
Z czelności bram
Mię gnębi, dławi
Biada, przekleństwo
Wlecze na śmierć
Szaleństwo
Zgroza, pomocy
Legiony... w lot
Biada... gdzie straż... .

(Runął na ziemię, drży na całym ciele w konwulsjach trwogi, zgrzyta zębami, przez zaciśnięte zęby dobywa się piana wściekłości. Wpada Irydyon widząc Cezara na ziemi w szale, skoczył ku niemu, dźwiga go i składa na sofie, otrzeźwia).

Głosy złowieszczce:

Ha, Cezarze
Tyś bezsilny
Twej pychy bluźniercza siła
W ducha szal
W bezdenną ciemność strąciła
Ciebie Cezara...
Ha, słuszną karą!

Głosy dworzan (mówią cicho do siebie):

Patrzcie, co za zgroza!
On potężny
Nasz boski Pan
Oszałał...

Głosy nowoprzybyłych dworzan:

Na Jowisza... kto oszałał?
Mówcie... to straszne!...
Powiedzcie co tchu!

Dworzanie (szepcą cicho):

Cezar oszałał...
Tam w mroku leży
Bezsilny, w dreszczach...

(Cezar, którego konwulsje opuściły, przechylił głowę w tył, przez zaciśnięte zęby dobywa jęki i urywane słowa).

Cezar:

Och... wszędzie... pusto...
Nicość... biada...
Pustynie... groźny gniew...
Nemezis... widzę krew...

Irydyon:

Cicho, służalczy tłumie!
Cezar, nasz Pan

Nie oszałał... on chory...
Febra go dławi
Chwilowo... to przejdzie...
Milczęć jak zaklęty grób!
Śmierć wam niechybna,
Jeśli otworzycie usta!

(Dworzanie z obawy opuszczają salę).

Głosy złowieszczce:

Eumenidy... splotów węże
Widma uludne
Straszliwe mary
Poległych narodów męże
Na twe skronie
Opornym rzuć gromy!

(Do siebie).

Ha, już nie długo
Będzie poił się krwi strugą;
Drży... wnet runie jego tron,
We mgle... idzie jego zgon!
Za wyłaną krew
Za jęki wydarte
Z piersi tysiąca
Za ucisk, srogie kary
Cię dręczą, Cezarze,
Ślą złowieszczczy śpiew!

Irydyon:

Cezarze, zbierz twoje siły,
Odpędź te widma blade,
One cię we śnie strwożyły;
My znajdziem na nie radę.
Tyś potężny,
Niezachwiany,
Tłum orężny
Czeka na twe skinienie,
W moc odziany
Odpędź mary, złudzenie!

(Cezar przychodzi do przytomności, otwiera powoli oczy, spogląda nieśmiało w około siebie).

Cezar:

Ach... iam cały,
Czyż to były sny i mary,
Złudne przywidzenia?
Jam nie pozbawion potęgi,
Wojsk i chwały,
Czyż to były cienie?

Irydyon:

Tak, Cezarze,
Tyś na tronie
Światowładnej Romy!
Włóż dyadem!

Scena 3.

(Cezar w otoczeniu swego dworu; zausznicy i doradcy, stoicy, poeci i dziejopisarze nadworni w poufnej z Cezarem naradzie, stroskani o los Romy wskutek objawów słabości Cezara, na wieść o rosnących niepokojach w prowincjach rzymskiego Imperium i w przeczuciu niedalekiego przewrotu w państwie i zmiany tronu starają się, w trwodze również o własne życie, natchnąć, pobudzić Cezara do nowych nadużyć, pogromów, by się ubezpieczył na tronie i zdeptał w zarodku grożące mu niebezpieczeństwo.)

Zausznicy Cezara:

Cezarze wszechpotężny,
Niewidzianym blaskiem
Zajaśniała Roma,
Twój oręż gromiący
Ujarzmił naród mężny
I świat ci rzucił do stóp
I ludy wtrącił
W niewoli wieczysty grób.

Głosy złowieszcze:

W niewolę pogrążył Cezara,
Wtrącił w obłędu toń;
Niezniszczalny trwogi cień,
Na czołe zawisła mu mara,
Ściga Eumenid dłoń!

Stoicy:

Monarcho wszechświata
W twej dłoni spoczywa
Milionów los,
Twój tron ich okrywa
Skarbami, dostatki,
Stwarza im życie;
A zadaje cios
Opornym i wrogom.

Głosy odartych z mienia:

Kto nam zniszczył zasiewy,
Srebrzyste zboża,
Owoc smętnych pól?
On... Cezar niszczący!

Kto nasze sioła
Zamienił w perzynę
I kraj kwitnący
Pogrążył w ruinę
Ha... Cezar.. wasz Pan!

Cezar (z rosnącym przerażeniem):

W głębi płomienny
Mię gryzie jad,
Niezagłuszone
Widm groźne okrzyki,
Nieprzytłumione
Wspomnień blade roje,
Trwogi niezmienny
Duchowy dreszcz!

Poeci:

Cezar nasz boski, szlachetny...
Potęgą władza niezłomna,
Cezar cierpliwy...
Pan wiecznej Romy,
Armią zbrojny ogromną
Powściąga gromy,
A w sercu drży!
On litościwy
Nasz boski Pan!

Głosy szydercze:

Wasz Cezar bezsilny
Szumu się boi mór;
Bezbronnym mściwy
Odważnym on tchórz!

Dziejopisarze:

Cezarze, do czynu!
Przed wątlym narodem
Ogarnia cię lęk?
Wolisz widma, mary,
Bezsennych nocy dręczące
Niż broni zgrzyt i szczęk?
Wolisz wspomnienia gryzące
Niż wojenne żary,
Niż tryumfów pieśń!?

Głosy złowieszcze:

Tryumfy — ułuda
Niemoc ducha
Cezara spowiła
W bezsilny złości gniew,
W kajdany spętała

Nierozzerwalne;
Jak dym jego siła,
Znikła jego chwała,
W sine rozwiała się mgły...
Ha... nieszczęsny Cezar drży!

Zausznicy Cezara:

Monarcho świata okręgu
Daremne zamysły,
By wydrzeć im ziemię,
Kolonów nawałą.
Nienawistne to plemię
Miłością wytrwała
Strzeże swych włości.
Cesarze, ty masz potęgę,
Zbrojnych legionów moc,
Za jednym zamachem
Zdołasz ich zgnieść!
Wyślesz ich jęki rozpaczne ku niebu,
Do kropli zdołasz wysączyć ich krew,
Ich cienie strącisz w otchłanie Erebu;
Wtedy przestanie cię ścigać ich gniew!

Głosy złowieszcze:

O zgrozo... wieści niestychana!
Potwornych planów przeklęty siew;
Do nowych ofiar porywa ich szal.
Nieszczęście... świętość spotwarzana
Odwiecznych praw
Mało wam: łez wylane morze,
Niedosyć jęków bezbrzeżnej toni!
Mało boleści rozwianej w przestworze,
Nie dosyć stosów konających ciał!
Cesarze, nie ujdiesz bezkarnie
Milczącej fatum, lecz mściwej dłoni!

Cezar (z mocą i gniewem):

My boskość Cezar,
Pan nieba i ziemi
Władca wieczystej Romy
Wojskami naszymi
Opornym rzucim gromy,
Zakujem w dyby i pęta,
Zburzym im włości,
Zagrabim im ziemię
Zetrzym ich kości;
Wygladźmy to plemię
Nienawistne, wrogie.
Pamięć ich będzie przeklęta!

Głos służalczy:

Panu naszemu
Cesarowi
Nieśmiertelnemu
Uderzmy czołem, padnijmy na twarz,
Sława mu za mężny czyn!

(Wszyscy biją głębokie pokłony przed majesta-
tem Cezara).

Zmieszane okrzyki:

Raźno do czynu... zbroić co tchu...
Przywdziewać spiż... zaostrzyć dzidy
i grot...
Legiony w szyk... okręty na morze...
Zapasów w bród... tłumnie, ochoczo
Podążyć na wroga!...

Cezar:

Ha, teraz zagłuszę
Ułudną marę
Pogromem wykruszę
Widm błady rój,
Snów spłoszę chmarę!

(Wtem u wnijsia rozlega się szczęk broni, jęk
poległej służby, okrzyki: pereat Caesar).

Ha, cóż ja słyszę?
Grzmi oręż morderczy!
Nieszczęście, biada...
Co się stało!?
Zgrzytnęła broń,
Poległa ma straż!
Zbliża się wróg,
Zabłysła stal!
Biada... uciekać co tchu!
Nieszczęście... rozwiać się w mgły!
Zgrozo... przepadnąć w ziemię!
Idą... zemstą dyszące...
Wylęgle z chmur...
Biada... wychodzą z gór
Nieubłagani!
Idzie mój zgon!

(Wpada Irydyon ze zbrojnym hufcem).

Ha... ucieczka daremna
Biada... zapóźno!

Irydyon:

Cezarze, dosyć wylanej krwi...
Dni twoich nadszedł kres!
Złóż dyadem twej korony,
Za mną siła, legiony
Jam Cezar Romy!

(Cezar pada na ziemię omdlały z trwogi, Irydyon zdziera mu z głowy koronę, wkłada na skronie).

Okrzyki:

Vivat Irydyon, Cezar nasz pan!
Dosyć ucisku, tyranii, grabieży,
Pokoju pragniem, mocy świętych praw!

(Zasłona spada.)



Leon Wolf.

NIEWOLNIK.

Nadchodzi wieczór. W bolesnem zdumieniu stoją i patrzą na zakopconą dymem i kurzem masę fabrycznych murów, z których wysoko w chmury sterczą, jak groźba naturze, ręką ludzką wzniesione kominy. Kłęby ciemnego dymu, nieustannie jak z paszczy piekielnej wyziewane, próżno drą się w górę i owładnąć chcą niknącem dnia światłem. Niespełniwszy swych zamiarów, gubią się same i rozplývają w morzu bezgranicznego przestworza, a mimo to idą dalej, bez końca dalej, jakby uciekały przed strasznym hukiem młotów i zgrzytaniem niezmordowanych maszyn, przerywanem od czau do czasu przeraźliwym sykiem uwięzionej pracy.

Oj, huczy wszystko, huczy. — Dzieło rąk i rozumu ludzkiego wzrosło tu nad siły człowieka, przerobiło go w swego niewolnika, zdeptało wolę jego. — Widzę setki ludzi, wykonujących mechanicznie, jakby sami postradali nerwy, obliczone ruchy, ni dalej, ni więcej. Zapomnieli tu wszyscy o wyższości swej nad inne twory. Człowieczeństwo zdeptane nie śmie ukorzonej tu wzniesić głowy i choć pękają nerwy, jeden po drugim, musi ściśle przestrzegać granic mu wyznaczonych, choć woła jego do ostatniego uderzenia serca ponieważ, jęczy łkaniem niewykonalnej zemsty, musi przestrzegać praw podyktowanych przez nieubłaganą, straszną tyranicę, maszynę. Przytępia się uczucie i zwolna człowiek traci poczucie wyższości swej woli, przyzwyczajają się do tej nieuniknionej uległości i mechanicznie spełnia ruchy

nakazane mu przez maszynę. Zapomniał myśleć o czemś innem, zapomniał myśleć w ogóle. Od czasu do czasu tylko budzi się mimowolnie umysł zgnębiony, a wtedy, jak za jakim oceanem obraz utraconej wolności wschodzi z poza czarnej zasłony władającej maszyny, myśl wraca do swych drogich i dzieli wesele i radość, boleść i smutek; lecz oto przeraźliwy zgrzyt koła maszynowego rozdziera ten obraz ukochany i znów się nic nie widzi tylko maszynę, nic się nie czuje, tylko konieczność mechanicznego spełniania nakazanych ruchów. Dla obcego wydaje się to życie czemś strasznem, lecz kto się przyzwyczaił, kto się wyrzekł swych nerwów, nie słyszy huku, zgrzytu i świstu, nie razi jego oczu przeraźliwość światła elektrycznego i pęd kół maszynowych, nie czuje piekielnego gorąca, które zawsze bucha, bo się poddał woli maszyny, bo się wyrzekł swej własnej woli.

Wyrzec się woli swej, wyrzec się myśli o tem co najdroższe, co piękne, co nieskończenie do siebie pociąga, to rozkaz maszyny. Biada temu, kto go nie usłucha. Żaden tyran w świecie nie jest tak bezwzględny, gdy widzi, że jego poddany nie jest mu ciałem i duszą oddany, jak maszyna. Zdoła człowiek znieść taką niewolę?

Stary robotnik, stary niewolnik maszyny przyszedł dziś rano. Nim wszedł do wnętrza fabryki, tęsknem okiem spojrzął w stronę swego mieszkanka, westchnął i uczyniwszy znak krzyża, przeszedł bramę. Wola jego silna, postanowił znowu na

godzin kilka zapomnieć o sobie, zapomnieć o wszystkim, choć serce mu się rwie, choć ból rozsada piersi, podda się rozkazom strasznej pani. Oto tam w domu żona jego schorzała pielęgnuje dogorywającego syna jedynaka. Ileż nadziei on złożył w tę jedyną podporę swej starości? Z jaką troską i poświęceniem pielęgnował go razem z żoną od lat niemowlęcych, aż do młodzieńczych doszedł dni, a dziś, dziś, kiedy się spełnić mają te nadzieje, syn ten łąda chwila zawrze powieki na zawsze. — O ten syn ukochany umrze pewnie dziś jeszcze, a on nie śmie zostać, nie śmie nawet tych ostatnich chwil z nim spędzić, bo go woła służba przeklęta, służba maszynie, nie znającej ni żalu ni litości. Poszedł, bo w domu nie ma chleba, choroba syna pochłonięła wszystko, dziś wtrąca syna do grobu i owładnęła żoną. — Maszyna wymaga jego pracy, więc idzie, zaparłszy się wszystkiego, a ból straszny ogarnął jego duszę i nie opuścił jej, choć robotnik stał się narzędziem maszyny.

Ból ten wieczny nieprzyjaciel pomyślności człowieka raz po raz wychylał swą długą szyję węża, kąsał jego uczucia, dra-

żnił jego wyobraźnię i budził uciśzone w głowie myśli. Człowiek i ból jego poczęli z sobą walczyć, człowiekowi za sprzymierzeńca był zgrzyt maszyny, lecz ból siłę miał straszną.

Sto razy zmógł go człowiek, sto razy powstał na nowo i kąsał, kąsał bez końca, aż woła zdeptana przez maszynę nie zdołała więcej opanować wyobraźni, rozum nie utrzymał w swych więzach zranionego uczucia i poszły myśli tam do syna ukochanego, do schorzałej żony. Łzy ciche zaczęły spływać po opylonych policzkach starego niewolnika i ugasiły żar strasznego bólu. Zwolna, niepostrzeżenie wkradła się w jego duszę błogosławiona nadzieja i ujrział syna, wyrrywającego się z silnych objęć nieubłaganej choroby i przychodzącego szybko do zdrowia. Jakaż radość, jakie szczęście! O, silny on, silny, gdy się z takich kajdan wydrzeć potrafił. Synu mój, synu!... a gdy wyciągnął ręce, by go przycisnąć do uradowanej piersi, zgrzytnęła strasznie przekleństwem śmierci maszyna, rozległ się jęk przeraźliwy, nieludzki i stary robotnik padł bez rąk wedle swej tyranicy, maszyny...



Franciszek Chlebowczyk.

POD RACŁAWICAMI.

...Kościuszek zawołał: „Zuchy!
Bierzcie kosy i obuchy
I uderzmy w przeciwnika,
Co się gwałtownie pomyka,
Bo już Mozgól za borami,
Bracia, zuchy! złe jest z nami!“

Wtem wyskoczył Bartosz śmiały,
Zawołał, aż drzewa drżały:

„Chwyćmy każdy swoją kose
I zmiążdżmy wroga jak ose“...

I tak uderzyli skokiem...
Krew połała się potokiem,
Mozgole wnet uciekali,
Bo ich nasi tego prali,
A Bartosz z chorągwią w rękę,
„Bracia“, wołał „już po lęku!“...



KILKA SŁÓW O WYSPIAŃSKIM.

I.

Wyspiański urodził się i wychował w Krakowie, tam ukończył gimnazjum i tam się kształcił na Uniwersytecie i Akademii Sztuk pięknych. Syn zdolnego rzeźbiarza, otoczony atmosferą sztuki, już jako dziecko marzył o tem, żeby sztuce wszystkie swe siły poświęcić. Ukończywszy gimnazjum, zapisał się do szkoły Sztuk pięknych, a równocześnie studiował literaturę i historię na Uniwersytecie Jagellońskim. Gdyby w gronie profesorów ówczesnej Akademii był jaki rzeźbiarz wielki, Wyspiański niezawodnie byłby się rzeźbie poświęcił, wszak w domu rodzicielskim dzieckiem jeszcze będąc, całymi dniami rzeźbił i lepił z gliny swoje dziecinne pomysły i zapewne marzył jakby o szczęściu najwyższem, żeby, podobnie jak ojciec, tworzyć pomniki królów, hetmanów i Świętych. W szkole matejkowskiej jednak zdolnego profesora rzeźbiarstwa nie było, a nawet uważano tę gałąź sztuki za niższą, nierównie od malarstwa. Duszą szkoły był Matejko—malarz, i to malarz największy, jakim się sztuka polska chlubi. Garnęli się do niego uczniowie, bo czuli w nim potęgę i otaczali go czcią serdeczną. Do Matejki każdy z nich śmiało się zwracał, bo on rad i wskazówek nie szczędził, a także materialnie wspierał każdego, kto jego pomocy potrzebował. Zetknąwszy się z takim kierownikiem, Wyśpiański przestał myśleć o rzeźbie, poświęcił się malarstwu i całą duszą ten zawód umiłował.

Nie wiadomo mi, co Wyśpiański w owym czasie poza obowiązkowemi studjami malował: może próbował tworzyć historyczne obrazy, jak wszyscy niemal uczniowie Matejki? To jednak pewne, że dusza jego szła matejkowskim szlakiem, szła w przeszłość naszą, wpatrując się w to wszystko, co było w niej wielkie, czyste i święte; umiłowała wielkie postacie bohaterów i Świętych polskich, wczuła

się we wszystkie kasty ojczystych dziejów, zwłaszcza te, które męczeńską krwią spływały i łzami.

Te dusze dwie, Matejki i Wyspiańskiego, niezmiernie do siebie podobne w swoim stosunku do Polski, w sposobie patrzenia w jej przeszłość i teraźniejszość. Bezgraniczna miłość ojczyzny, uwielbienie dla pamiątek ojczystych i przywiązanie do starych murów Krakowa, do Wawelu i wieży Maryackiej, przywiązanie takie, jak syna najczulszego do ojca: to wspólna ich i jedyna namiętność. Stąd i w dziełach obu analogii mnóstwo, i choć te dzieła tak różne formą, to jednak wyraźnie jeden i ten sam duch je ogarnia. Widz, patrząc na witraże Wyspiańskiego albo na ilustracye do „Bolesława Śmiałego“, mimo woli i o dziełach Matejki myśli, chociaż najczęściej ani sprawy sobie nie zdaje, w czym tkwi pokrewieństwo, gdzie te cechy wspólne.

Ukończywszy Matejkowską szkołę, wyjechał Wyspiański za granicę. Rok spędził w Niemczech i Szwajcaryi, potem osiadł w Paryżu. Malował typy uliczne, nędzne, blade i sine twarze głodnych: stał się malarzem nędzy, którą poznał aż nadto blisko, bo i jego samego chwyciła w swoje żelazne ramiona.

Przeszedł tyfus głodowy.

Po czterech latach pobytu na paryskim bruku, wrócił do Krakowa z całym swoim malarskim dorobkiem i z teką zapełnioną szkicami dramatów. Tam, w Paryżu, zdala od ojczyzny, myślą przenosił się raz po raz nad Wisłę, tęsknota dyktowała mu prześliczne rzeczy o Wawelu, o Krakusie i Wandzie: z tych myśli, wspomnień i tęsknot zrodził się pierwszy dramat Wyspiańskiego „Legenda“, pierwsze jego dzieło „pisane“. Wyszło ono w Krakowie w 1897 r. Panująca w owym czasie Przybyszewszczyzna przygłuszyła ten głos, co

brzmiał na inną nutę. Na „Legendę“ prawie nie zwrócono uwagi, toż na „Maleagry“: jako poeta, Wyspiański nie od razu zyskał sobie uznanie.

Pierwsze wieńce uznania przyniosły Wyspiańskiemu prace malarskie.

Pamiętam tego wychudzonego, zachwyconego Świętego Franciszka z Assyżu. Posłał go Wyspiański na wystawę obrazów religijnych. Wszystkie ściany sal w „Sukiennicach“ pozawieszano płótnami i wśród tej ogromnej liczby malowideł jeden tylko obraz wybił się ponad pospolicłość — to właśnie wspomniany św. Franciszek. Był to projekt witrażu do odnawianego właśnie kościoła Franciszkanów w Krakowie. Wyspiański otrzymał pierwszą nagrodę, pomimo sykania tych, co przyzwyczajeni do gładkich, banalnych oleodruków nie mogli dojrzeć piękna w ostrych konturach i niesfornej fantazji, jaką się witraż Wyspiańskiego odznaczał.

Niezrozumiany i lekceważony przez ogół, ceniony natomiast wysoce przez znawców, Wyspiański—malarz zyskiwał jednak przebojem sławę coraz większą i stał się wkrótce jedną z naczelných postaci polskiego malarstwa. Malowane przez niego główki dziecięce, drobne obrazki rodzajowe, matki karmiące dzieci, portrety pastelowe — były nieraz główną atrakcją wystaw. Imponowały i pociągały niesłychaną prostotą techniki i wyrazem.

Jego witraże, przeznaczone do katedry krakowskiej, to najwspanialsze rzeczy, jakie Wyspiański—malarz stworzył, bezwzględnie piękne, a zarazem może najoryginalniejsze dzieła malarskie polskim pędzlem stworzone. Jeden z tych witrażów przedstawia Henryka Pobożnego, drugi św. Stanisława, trzeci Kazimierza Wielkiego. Jak „św. Franciszek“, tak i te witraże nie wszystkim się podobały, zwłaszcza Kazimierz Wielki wrzawę wywołał.

Wiadomo, że do naszych czasów nie dochował się żaden autentyczny wizerunek tego, co „Polskę murowaną zostawił“. Jakże go więc naśladować? Gdyby się Wyspiański radził kogo, jak ma Kazimie-

rza Wielkiego przedstawić, jakie mu rysować, gdyby się n. p. pytał kogoś z tych, co wrzawę przeciwko witrażowi i niemu podnieśli, niezawodnie otrzymałby odpowiedź, że Kazimierz Wielki musiał mieć rysy podobne do naszych, że zatem należy kogoś z żywych sportretować, tylko oczywiście w stroju królewskim, lśniącym od złota i pereł; przecież i Dürer malował portret Karola Wielkiego, kilkaset lat po jego śmierci, choć żadnego wizerunku Karola nie miał; mimo to namalował go „po ludzku“... siedząc przed lustrem i we własną twarz się wpatrując.

Wyspiański stał na stanowisku, że sztuka nie powinna kłamać, nie przestraszać więc żadnej twarzy w twarz Kazimierza Wielkiego. Przypomniawszy sobie, że lat temu ze trzydzieści, cegły zwietrzałe z muru katedry wawelskiej wypadły i ukazały wewnątrz grobu, gdzie leżał szkielet wielki, spróchniały, ze złotą koroną na skroniach, berłem złotem i resztkami szaty królewskiej; na szczękach i skroniach przyschnięte resztki skóry były widoczne i resztki włosów czarnych; a ciemne doły oczu królewskich patrzyły tak smutnie i tragicznie, jak gdyby znieść nie mogły widoku słońca i ludzi. Słońce świeci dziś tak samo, jak za jego czasów, tylko ludzie inni. Kazimierz Wielki, umierając, zostawił Polskę potężną, bogatą i wolną — dziś jego spuścizna łzami i krwią przepełniona, uboga — niewolna.

Matejko, świadek naoczny wydobywania szczątków królewskich z grobu, utrwalił swoje wrażenia w obrazie, archeologowie spisywali szczegóły: Kazimierz Wielki, uosobienie dawnej naszej chwały, ukazał się kościotrupem; personifikacje dawnej świętości ojczyzny przeszła przez metamorfozę, aby i dzisiejsze nasze szczęście odzwierciedlić wiernie.

Tak też Wyspiański pojął Kazimierza Wielkiego i stworzył tragiczną postać, niezmiernie smutną, z oczodołami patrzącymi z wyrzutem strasznym, bolesnym, ze szczękami zwartymi z bólu.

To dzieło malarskie najlepiej charakteryzuje nam duszę twórcy. Artysta ma duszę zboląłą, roztrząsa przeszłość naszą

szczęśliwą i zestawia z „piekłem dni teraźniejszych; wargi z bólu przygryza i tęskni do przyszłości lepszej.

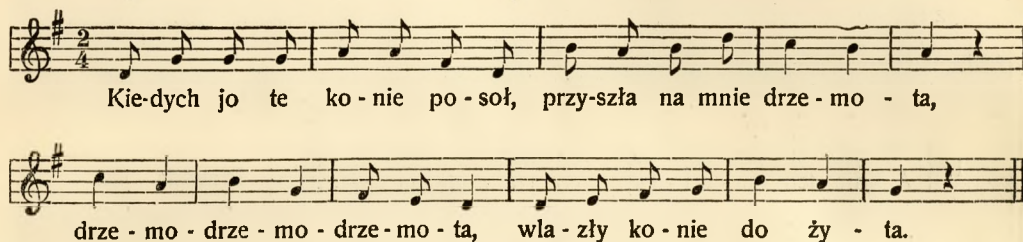
(C. d. n.)



PIEŚNI LUDOWE.

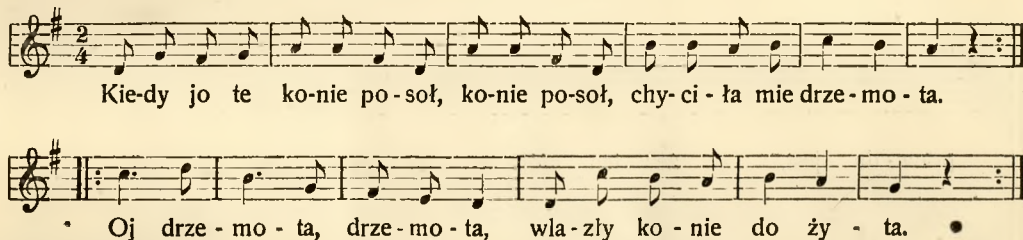
4. KIEDYCH JO TE KONIE POSOŁ.

a)



Kie-dych jo te ko-nie po-soł, przy-szła na mnie drze-mo-ta,
drze-mo-drze-mo-drze-mo-ta, wła-zły ko-nie do ży-ta.

b)

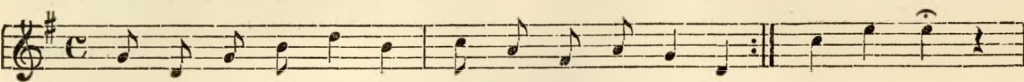


Kie-dy jo te ko-nie po-soł, ko-nie po-soł, chy-ci-ła mie drze-mo-ta.
Oj drze-mo-ta, drze-mo-ta, wła-zły ko-nie do ży-ta.

- | | |
|---|---|
| 2. Przyszedł na mie chłop w kożuchu,
Tego żyta gospodarz;
Hej, ty szelmo, co dziełasz,
Ze ty konie w życie masz. | 5. Siedem lotech u was służył,
A nicech wom nie ukrod;
Jenym jedną koszulkę,
A za to ech z góry spod. |
| 3. Jo nie jestem żoden szelma,
Jo swej matki włośny syn;
Dobro była matka ma,
A jo jestem jeji syn. | 6. Siedem lotech u was służył,
Żoden na mnie nic nie wie;
Jeno wasza córeczka,
A ta na mnie nie powie. |
| 4. Siedem lotech u was służył,
A nicech wom nie stracił;
Jeny jeden okolnik,
A tenech wom zapłacił. | 7. Choćby chciała powiedzieci,
Powiedzieci nie może;
Bo mie ona wodziła
Za ręczyczki po róże. |

(Melodya a) z okolicy Cieszyna, zanotował z pamięci A. Hławiczka; b) z okolicy Frysztata (ze Stonawy), mel. i tekst zanotował Wiktor Kiszka, nauczyciel, w r. 1899.)

5. A²NIE TA PTASZYNA.



1. { A nie ta pta - szy - na, co nad ga - jem sia - da, } Praw-da jest,
 { A nie ten ka - wa - ler, co o kil - ku ga - da, }

praw - da jest, że ten mój sy - ne - czek szel - ma jest.

Z życiem.

Na chór mieszany ułożył A. Hławiczka.



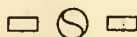
1. { A nie ta pta - szy - na, co nad ga - jem sia - da, } Praw-da jest,
 { A nie ten ka - wa - ler, co o dwie-ma ga - da, }

praw - da jest, że ten mój sy - ne - czek szel - ma jest.

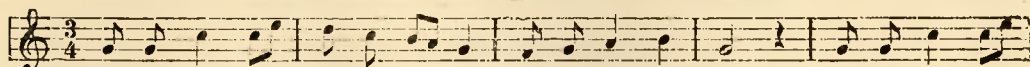
2. Pójdę do karczmiczki, stanę wedle proga,
 Mój miły tańczy, nie boi się Boga,
 Tańczy, wywija, wybiera szwarniejsze,
 Mnie mija.

3. Gdy idę do karczmy, stanę tam u słupu,
 Mój miły tańczy, kromfleczkami: cupu.
 Cup, cup, cup, ma miła,
 Już się nasza miłość skończyła!

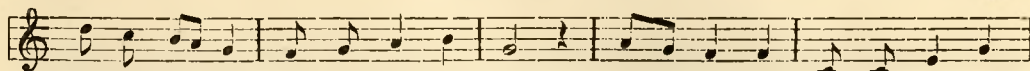
(Melodya i tekst z Sibicy przy Cieszylinie, śpiewała Krężołkówna w Sibicy r. 1900.



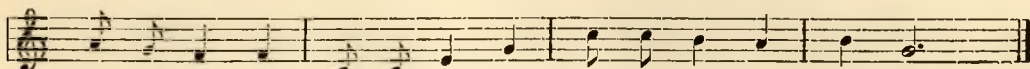
6. NA KOPIECZKU GRUSZKA ROŚNIE.



On: Na ko - pie - czku grusz - ka ro - śnie, pod ko - pie - czkiem dwie, Na - mó - wi - łech
Ona: Za - sia - łach se ma - ry - jo - nek, on mi nie ze - szedł, Po - śla - łach se



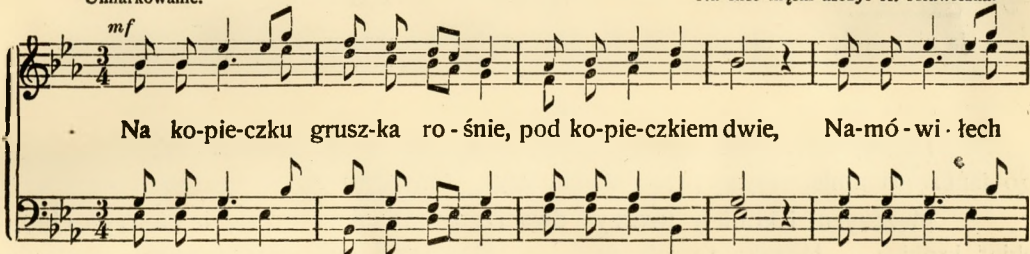
szwar - ne dziewcze led - wo dla sie - bie. Oj żal, żal, żal mi bę - dzie,
po mi - ła - go, on mi nie przy - szedł. Gdy nie przy - szedł, niech nie cho - dzi,



a jak mi ją we - zną lu - dzie, po - cie - sze - nie mo - je.
ma - ry - jo - nek piek - nie wscho - dzi, piek - nie jest zie - lo - ny.

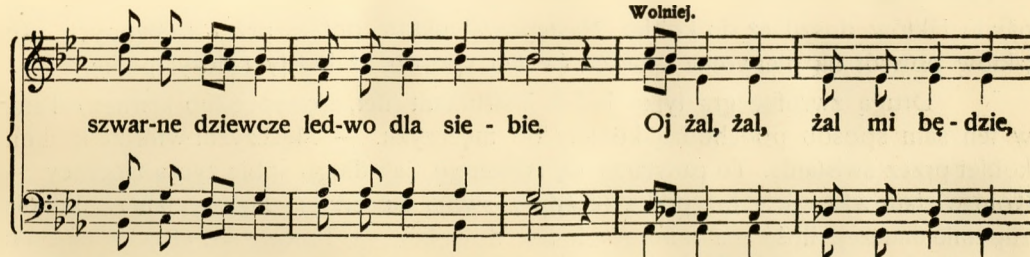
Umiarkowanie.

Na chór męski ułożył A. Hławiczka.



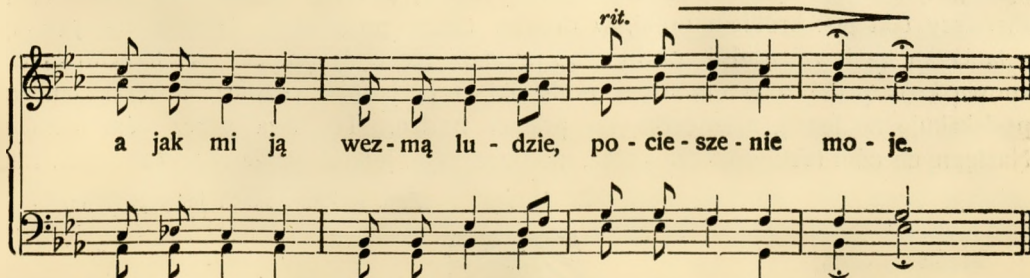
Na ko - pie - czku grusz - ka ro - śnie, pod ko - pie - czkiem dwie, Na - mó - wi - łech

Wolniej.



szwar - ne dziewcze led - wo dla sie - bie. Oj żal, żal, żal mi bę - dzie,

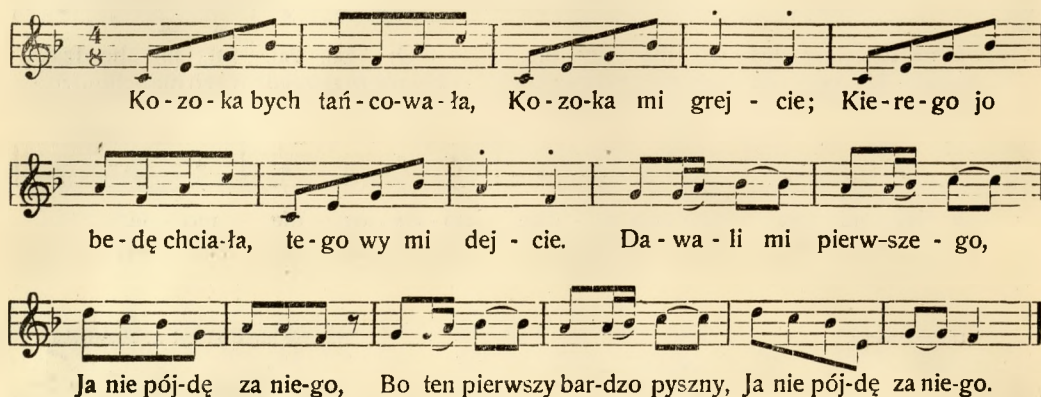
rit.



a jak mi ją wez - mą lu - dzie, po - cie - sze - nie mo - je.

TAŃCE LUDOWE.

1. „KOZOK“.



Ko-zo-ka bych tań-co-wa-ła, Ko-zo-ka mi grej - cie; Kie-re-go jo
be-dę chcia-ła, te-go wy mi dej - cie. Da-wa-li mi pierw-sze - go,
Ja nie pój-dę za nie-go, Bo ten pierwszy bar-dzo pyszny, Ja nie pój-dę za nie-go.

Dzisiaj już rzadko można zobaczyć kozoka w ten sposób wykonanego, jak go tańczono mniej więcej przed 25-ciu laty. Tańczono go w sposób następujący:

Mężczyźni i kobiety tworzyli dwa rzędy, oddalone od siebie na trzy „chłopskie“ kroki. — Muzyka zaczęła grać. — Mężczyźni szli wszyscy razem drobnym krokiem polki do kobiet. — Krok musiał być z góry obliczony, ażeby w przeciągu ośmiu taktów doszli aż do kobiet. Następował ukłon, potem przez następnych ośm taktów powrót na pierwotne miejsca (w ten sposób, iż każdy tańczył polkę.)

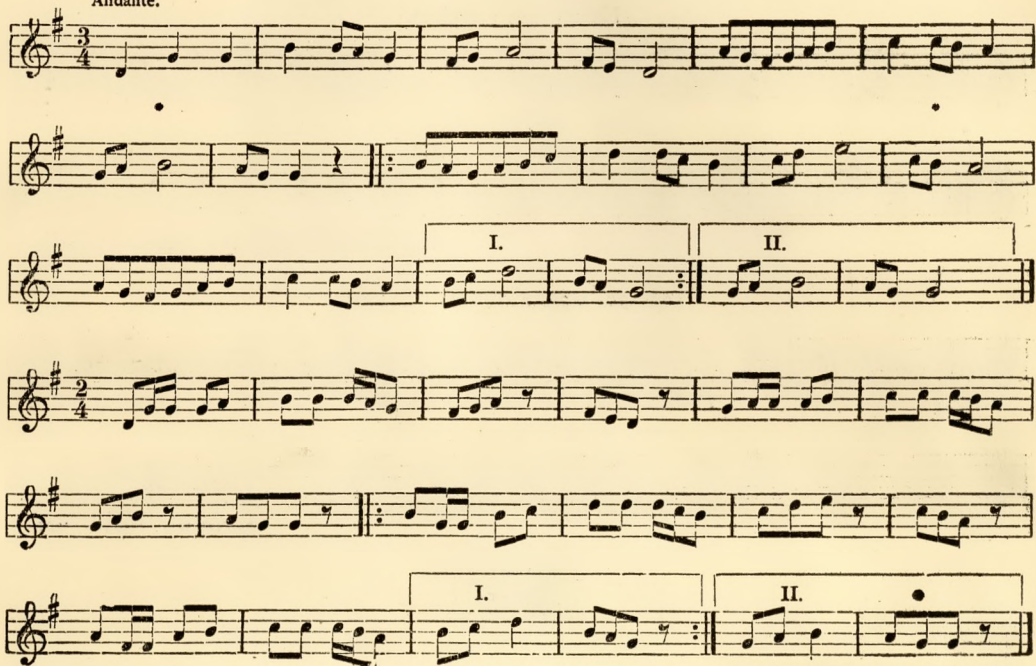
Drugą zwrotkę gra tylko jeden instrument (flet, skrzypce lub klarnet.) Teraz w ten sam sposób podchodzą kobiety do mężczyzn. — Mężczyźni wtórują krokom kobiet przez świstanie. To powtarza się tak długo, jak długo sobie życzą tańczący. — Koniec stanowi „wściekła“ polka (każdy z swoją tancerką.) Dzisiaj tańczą kozoka zupełnie inaczej. Ilość par tańczących jest dowolna. — Tancerz krzyżuje z tancerką ręce w tyle w ten sposób, iż lewą ręką trzyma ją za lewą, a prawą za prawą rękę. Pierwszy takt jest krokiem polki, w drugim takcie podskakuje tancerz na prawej, a tancerka na lewej nodze, podnosząc przytem nieco drugą. — W trzecim takcie znowu krok polki, a w czwartym podskoki, z tą jednak różnicą, iż teraz tancerz podskakuje na lewej, a tancerka na prawej nodze. To trwa przez ośm taktów. Następných ośm taktów tańczą polkę, nie puszcżając jednak w tyle skrzyżowanych rąk.

Zap. w Zamarskach Jerzy Hładyna.

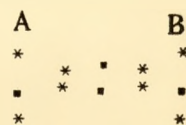
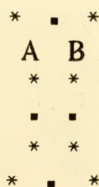
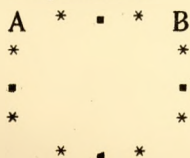


2. „ZOGRODNIK“.

Andante.



Objaśnienie:

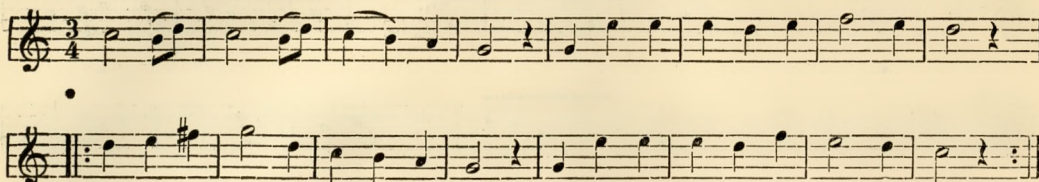


Zagrodnika tańczy osób 12, (czterech mężczyzn, ośm kobiet). Ustawiają się w ten sposób, jak wskazuje fig. 1. Mężczyzna jest w środku, kobiety po bokach. Pierwsze cztery takty idą naprzeciw siebie trójki A i B. (fig. 2.). Następuje ukłon, poczem przez następne cztery takty powrót trójki A i B na pierwotne miejsca. Następnich ośm taktów powtarzają tak samo drugie trójki, (fig. 3;). (Trio.) Tancerz klaska w ręce i bieży na prawo. Prawą ręką podejmuje tancerkę pod prawą rękę i opisuje z nią półkole. Gdy przyjdzie znowu na swe pierwotne miejsce, puszcza tancerkę, która się tymczasem obraca w miejscu i bierze drugą tancerkę ręką lewą pod lewą rękę i opisuje takiesame półkole. To samo wykonują inne trójki. Uważać należy, ażeby w każdym takcie nie robić więcej, jak dwa kroki.

Zap. J. Hadyna

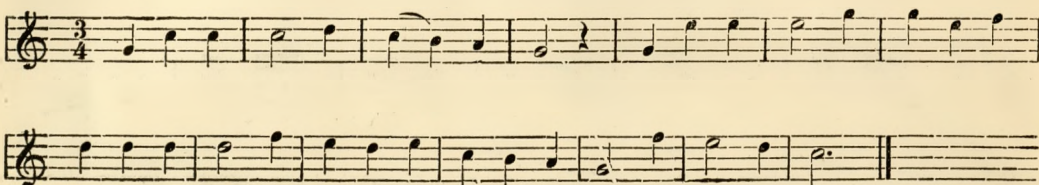
3. NA TEJ ŁĄCE SZEROKIEJ. (Walc).

Na tej łące szerokiej.



Ze zbiorów J. Londzina, ś. p. naucz. z Zabrzega.

Ten sam walc z okolicy Cieszyna.



Zapisał Jerzy Hładym, 1907



Arjos (z Gór. Śląska.)

1) ZARANIE.

Zwróciłem zwrok swój na krąg nieba szczyty,
Mijała zorza i różowe wianki, [L]
Dzień nowy wszedł słoneczny i błękitny.
Świetlisty dzień zwiastują te poranki,
Co cienny azur, jak płaszcz aksamitny
Na pleca biorą, idąc od kochanki [L]
Tej zimnej nocy, co w swej chłodnej sali, [L+]
Miast lamp i świeczek gwiazd milionów pali. miliony

I nastał piękny dzień. Ja na kwieciste
Wyszedłem łąki, aby użyć chłodu.
A światło słońca było promieniste,
I miałem widok wielkiego ogrodu;
A za mną każdy wyrzekłby zaiste:
Tu byłbym chciał zamieszkać zaraz z młodu,
By czerpać błogie młodzieńcze natchnienia,
Bo tu jest świat stworzony do marzenia.

A świeży wiew od łąk i pól i lasów
Był przesycony kwiatów aromatem.
Mając tu chatę, jak za dawnych czasów,
We zgodzie żyjąc z całym Bożym światem; [przemiany]
W głębokiej ciszy, bez krwawych zapasów,
Można się żywić korzonkami latem,
A zimą palić ognie i pić miody
I piec dziczyznę, co się złowi wprzód. [doprowadz]

Tu można się zagłębiać w wszelkich dziwach
I widzieć piękność tej boskiej przyrody,
Pallas Atenę, co w greckich oliwach
Się podobala wszystkim bogów rody, [.]
Co panowały na górach i niwach,
Kiedy to jeszcze cieszył się wiek młody
Swą wyobraźnią, tę cudotwórczynię,
Co świat przemienia w przepiękną świątynię. [.]

Kto raz przywłaszczył sobie piękna prawa,
Budować będzie myśli swej kryształ.
Słodczą jemu będzie męka krwawa,
Zapłata jego świat z prochów powstały,
Zadowoleniem z siebie jego sława, [.]
I tak się rodzi nowy twór wspinały,
Poczęty z piękna, i rośnie bez trudu, [.]
I miłość piękna tak dokona cudu.

Choć dziś nie mamy olimpijskich bogów,
Idei piękna zapalim kadzidła,
Skupioni u zbawiennej sztuki progów, [.]
Bo urok boski mają jej mamidła, [x]
I życie bije z złotych jej wyłogów,
Gdy rzeczywistość duchowi się zbrzydła,
Co orłem leci w świat zagadnień wiecznych,
By tam uchwycić jądro zjawisk sprzecznych.

Wybudujemy myśli piramidy,
Postawim nowe sfinksy tajemnicze
I Akropolis, gdzie z złotej egidy
Pallas Ateny błyskają oblicze, [.]
I z lirą w ręku, jak ci Homerydy,
Rozniecim pieśni niezagasłej znicze
Tą iskrą piękna, co wytryska z łona,
Mistrzowie sztuki, syny Apollona.

Słoneczna Hellas jest nasza ojczyzna.
Przed nami góry, u stóp szumi morze,
Wokoło nas oliwna niwa żyzna,
Na niebie nam różowe świecą zorze
U złotych bram Jowisza, a spuścizna
Kronosa, słońce, w błękitnym przestworze, [H. .7]
A w źródłach nimfy, a w lasach śpiewanie
Przepięknych dryad — zwiastuje zaranie.



Jan Seniurawski.

WILK I ŻREBIE.

(Bajka wcale łatwa do odgadnięcia).

W zacisznej, pięknej zagrodzie hasało sobie potulne żrebiątko. Nie miało żadnych trosk, bo gospodarz dostarczał dosyć pożywienia, aby się kiedyś doczekać dobrej siły roboczej. Żrebiątko kochało swą matkę i starszych swego pokolenia, kochało też gospodarza. Nawzajem doznawało od wszystkich miłości. Matka uczyła je, jak skakać, do kogo się zbliżać, kogo kochać, kogo unikać, jak się bronić, krótko i węzłowato mówiła o wszystkim, co jej potomstwu mogło się przydać w życiu.

Osobny rozdział w tych naukach stanowiły zawsze ostrzeżenia przed wilkami. W okolicy były wielkie lasy, w których było mnóstwo wilków. Przywędrowały one z dalekich północnych, zachodnich i południowych stron, bo w krajach rodzinnych nie mogły się wyżywić.

Matka mawiała:

— Dziecko, strzeż się wilków, bo one są najniebezpieczniejsze. Siła ich nie byłaby tak groźną, ale gdy się zważy — że występują gromadnie, że są podstępne i fałszywe, to się dochodzi do przekonania, że ostrożność jest bardzo wskazana. Osieł przywdziewa czasem wilczą skórę, ale można go zaraz poznać po uszach i po wrodzonym „i... a... a... i;“ nie trzeba się go obawiać, lecz raczej gardzić nim: wilk natomiast przemawia do nas w naszym języku, udaje naszego przyjaciela, przyrzeka nam złote góry, a gdy mu zaufamy i do niego się zbliżymy, to już po nas.

Żrebiątko pamiętało te przestrogi i często je sobie powtarzało. Zdarzyło się, że to lub owo żrebie w okolicy padło ofiarą swej łatwowierności, poszarpane przez wilki, a wtedy żałowało nasze żrebiątko, że są na świecie tak głupie stworzenia.

Pewnego poranka, kiedy nikogo nie było w domu, żrebiątko — jak zwykle — chodziło sobie wzdłuż płotu. Patrzy, aż tu zbliża się jakiś ładny pies, średniego wzrostu, uśmiecha się z daleka, kłania się i mówi przewracając nabożnie oczyma:

— Aj, witam, witam! Co za śliczne kształty! Co za siła musi być w takim ciele! Szkoda, że ciągle siedzisz w tem zamknięciu! Trzeba się pokazać światu, poszukać sobie przyjaciół i zaznajomić się z kulturą świata.

— A któż byłby moim przyjacielem? — zapytało źrebie.

— Gdybym mógł mieć na lzieję, że mą przyjaźnią nie wzgardzisz, tobym ci ją chętnie ofiarował.

— Ktoś ty i skąd przychodzisz? —

— Jestem powinowatym waszego stróża domu. Ponieważ cenię nade wszystko wolność, a w naszych krajach rodzinnych trzeba nosić obrożę i za łyżkę marnej stawy szczekać dniem i nocą, wolałem opuścić ziemię rodzinną, jakkolwiek teraz ciągle do niej wdycham i przyjść tu do was w nadziei, że tu zyskam byt niezawisły i że będę was mógł uszczęśliwiać. Muszę przyznać, że doznałem gościnnego przyjęcia. Z wdzięczności za to dam mieszkańcom swą przyjaźń i cieszę się, gdy słowa moje znajdują u kogo chętny posłuch. Niestety w ostatnich czasach ta harmonia się psuje; nie myśl, że z mojej winy, nie, ja jestem zawsze takisam. Mam tu teraz dużo nieprzyjaciół, a ci nazywają mnie wilkiem. Nie chcą uznać mych dobrych chęci i przyjaciół mnie pozbawiają. Trzymają się mnie niektórzy, ale większą częścią przynoszą mi tylko wstyd.

Źrebie wiedziało, z kim ma do czynienia i tak się odezwalo:

— Mój kochany, przyjaźń twoja jest dla mnie bardzo cenna. Przyjmuję ją pod warunkiem, że wrócisz do swych stron rodzinnych i że się zdala kochać będziemy. Masz tu nieprzyjaciół dużo, a jak słyhać, będziesz ich miał coraz to więcej. Mogłoby cię co niemiłego spotkać, czemu ja przeszkodzić nie mogę. Z resztą jakoś niedobrze patrzy ci z oczu, a nos masz krwią powalany. Idź uszczęśliwiać brać swoją!

— Wilk zgrzytnął i — może czmychnie!



WZMIANKI I OCENY.

Paweł Stalmach.

CIESZYMIR,

śplewogra ludowa w trzech odstonach.

Mam tu jak najkrócej omówić rzecz, napisaną przez jednego z najpierwszych i najdzielniejszych krzewicieli oświaty narodowej w Księstwie Cieszyńskim — Pawła Stalmacha — drukowaną w Cieszynie w r. 1890. Niestrudzony ten bojownik mimo uciążliwej i tak odpowiedzialnej pracy społecznej i politycznej, jaką dźwigał na swoich barkach, rozumiejąc znaczenie i war-

tość odpowiedniej lektury dla ludu, starał się zapobiedz odczuwanemu brakowi tejże i w chwilach wolnych od codziennych zajęć z umiłowaniem oddawał się literaturze; praca jego pod tym względem — jak całe zresztą życie — poświęcona była budzeniu i podtrzymywaniu świadomości narodowej wśród ludu, z którego sam pochodził. Z życia też i przeszłości ludu polskie-

go na Śląsku czerpał temat do swojego utworu, który nazwał „Śpiewogrą” — dlatego zapewne, że prawie cały ułożony jest w ten sposób, że da się śpiewać według załączonych nut.

„Śpiewogrą” — a raczej akcja jej, odgrywa się w okolicy dzisiejszego miasta Cieszyna w czasach jeszcze pogańskich, mniej więcej koło roku 810 po Chr., gdyż taka jest mniemana czy rzeczywista data założenia grodu i miasta Cieszyna. W myśl uwag autora, zawartych w przedmowie, z którymi można się godzić lub nie, słowiańscy nasi przodkowie przedstawieni są jako lud osiadły w pagórkowatym lesistym kraju, zajmujący się uprawą roli i pasterstwem, odznaczający się gościnnością i łagodnem usposobieniem, lubiący śpiew, muzykę i taniec, przytem nadzwyczał religijny, czczący gorliwie swoich pogańskich bogów. Takimi też są bohaterowie „Śpiewogry” — napisanej wierszem śpiewnym, podzielonym na zwrotki — a składającej się z trzech odsłon, z których każda podzielona jest na sceny, czyli, jak je autor trochę dziwacznie nazywa, na „zjawy”.

Rzecz odbywa się na włosnę — na ziemi osiadłej przez ród słowiańskich Chrobaków, będących pod władzą, czy opieką Ojczyka. Chrobaci obchodzą uroczyscie jakieś święto, jak to wywnioskować można z nabożnych pieśni do łaskawych bogów, którzy roztaczają nad swoim ludem opiekę i hojnymi darzą go plony. — W świętym gaju widzimy chóry dziewcząt, młodzińców i starszych — a każdy chór stosownie do swojego wieku i uczuć wielbi swoich bogów. Nastrój jest wesoły, tętnący swobodą i lekkością ducha i ciała. Płasy rozochoconych przodków naszych przerywa granie na trwogę pasterzy, którzy widocznie zauważyli dzikiego zwierzaka; niezwłocznie też Ojczyk wyprawia ludzi na obławę na domniemanego zwierza, a tymczasem (odsłona II.) zbliża się Cieszymir (Cieszko), jeden z trzech synów księcia Polan, Leszka — przyszły założyciel zamku cieszyńskiego. Zastałe on Lu-

dkę, córkę Ojczyka, idącą po wodę do źródła, gdzie dziś Bracka studnia stoi, i nucącą wesołą piosnkę. Ze słów:

O śliczna, dobra, milutka dzleweczko,
Podaj tej wody, posłuż koneweczką.

łatwo poznać, że Ludka „wpadła w oko” Cieszymirowi i nietrudno się domyślić, co z tego wyniknie — zwłaszcza, że i Ludka wcale do rzeczy dziewczyna, po zbadaniu przybysza, od razu prosi go w progi ojca; nieco strwożona, zaczyna słowami:

Choć tu stoję, to się boję,
Żeś ty taki, nie wiem jaki?

przekonawszy się jednak, że nie ma przed sobą nic podejrzanego, bo Cieszymir „czci Boga, co rad gości, wiedzie ludzi do miłości” (Radogost) — bez wahania nuci:

„Chcesz w gościnę, wstąp w dziedzinę,
Raczy chata, czem bogata.
Gdy w naszego wierzysz Boga,
Nie pomiąj ojców proga”.

Wkrótce nadchodzą ze swoimi drużynami dwaj bracia Cieszymira, Bolko i Leszko, którzy podobnie jak on wysłani zostali przez ojca w świat na wędrowkę. Radość braci z powodu tak szczęśliwego spotkania się nie zna granic. Opowiadają, co widzieli i słyszeli w czasie swojej tułaczki po Słowiańszczyźnie, a wieści, jakie przynoszą, są na ogół pomyślne, bo bratnie plemiona mimo srogich utrapień (wędrowki ludów) zdołały oprzeć się i ocaleć z ogólnego zalewu dzikich hord wędrownych. Cieszymir zaś, który południowe zwiedzał kraje, opowiada o wielkiem przemienieniu, jakie widział u tamtejszych Słowian, bo Przyjęli nową z Rzymu i od Greków wiarę i porzucili swoje obyczaje stare.

Po skończonem opowiadaniu prosi Ojczyk dostojnych gości na posiłek, czemu ci ostatni wcale są radzi, a zwłaszcza Cieszko, który trzymając Ludkę za rękę, śpiewa z uniesieniem:

W preuciesznej tej godzinie
I przemilej nam gościnie,
Na tem miejscu dziś ślubuję.
Że tu miasto wam zbuduję.

Odsłona III., która odbywa się już na tle widniejącego w dali zamku, zaczyna się śpiewem Starucha, sędziwego Chroboty. Po dziękczynnym hymnie na cześć ojczy-
stych gór i lasów, które chronią i chroniły spokojny lud od najeźdźców, wyraża starzec swoją radość z powodu mającego się zawrzeć związku między trzema bratnimi narodami Lachów, Chrobotów i Polan. Jest on bowiem zasadniczym zwolennikiem łączenia się Słowian dla wspólnej obrony, a w utworze przypadła mu rola przedstawiciela i rzecznika tejże idei, przebijającej się wyraźnie w całym utworze Stałmacha. Potem zjawiają się pasterze i oracze, przynoszący młodej parze w podarunku płody ojczystej ziemi, a za nimi przychodzą kuznicy, rodzaj górników, czy wołowników, którzy ofiarowują włócznie, sporządzone z wykopanego przez siebie żelaza. I oni radośnie witają ten związek małżeński, mający utrwalić potęgę Słowian i śpiewają:

Taka jedność, miłość bratnia
Między Słowianami
Niech się zawsze uwydatnia
Mądrymi czynami.

Dalszy ciąg trzeciej odsłony wypełnia obrzęd weselny dwóch młodych par (z słotą Ludki, Mirką, żeni się Władek, syn naczelnika Lachów, którego zastajemy już w gościnie u Ojczyka); słyszymy tu śpiewy swatów, družbów, družek i par zaręczonych. Znajdujemy tu także charakterysty-

kę Słowian (śpiew pasterzy) w myśl pojęć samego autora:

Jesteśmy rolnicze plemię,
Pasiem trzody, orzem ziemię,
Jako lud spokojny,
Nie lubimy wojny

poczem następuje błagalny śpiew całego zebrania, proszącego bogów o pomoc, radę i wspomnienie temi słowy:

O wspomagajcie, niebiescy mocarze,
By napastnicze plemię poskromiało...
jakby w przeczuciu tego, co spotkać miało i spotyka spokojny naród ze strony krwiożerczych najeźdźców.

* * *

Kończy się utwór przemówieniem Starucha, które jest najwidoczniejszym odbiciem myśli samego autora i nie należy już właściwie do akcji — ale przenosi czytelnika w czasy późniejsze, może współczesne; jest tu przypomnienie dawnych lat, kiedy w Cieszynie brzmiała polska piosenka, a po nasze dziewczęta, mówiące po polsku, przychodzili książęta:

A to każda panienka, co ma serce tkliwe,
Niech też sobie pamięta, bo to nie nowiny:
Przychodzili książęta po nasze dziewczyny
Co po polsku mówiły. Snadź by dobrze

było,

By te czasy wróciły, które wspomnieć miło.
Ale darmo mi mówić, albo prorokować,
Wolę więc którą złowić i z nią potańco-
wać.

Zasłona spada. — Koniec.

K. S. w Cieszynie, w grudniu 1907.

(Dok. nast.)

□ □ □

NAJPOCZYTNIEJSZE KSIĄŻKI POLSKIE.

(Dział Informacyjny, wprowadzony na żądanie czytelników „Zarania“).*)

Przedewszystkiem wymieniamy dzieła **St. Wyspiańskiego**, które dziś dla nikogo nie są obojętne.

„Achilleis“, Sceny dramatyczne, 1903 (4 K); „Akropolis“, Dramat, 1904 (5 K); „Bolesław Śmiały“, Poemat (2 K); „Bole-

śław Śmiały“, Dramat, 1903 (3 K); „Kazimierz Wielki“, Poemat, 1901 (1 K 50 h);

*) W każdym numerze uwzględnimy kilku autorów, wymieniając ich książki, najbardziej poczytne w kołach szerszych. Przy każdym autorze będziemy dodawali po kilka słów informa-

„Kłatwa“, Tragedya, 1905 (2 K 50 h); „Legenda“, Dramat, 1904 (3 K); „Legion“, Scen dwanaście, 1900 (2 K 50 h); „Meleager“, Tragedya, 1902 (2 K); „Noc listopadowa“, Sceny dramatyczne, 1904 (4 K); „Protesilas i Laodamia“, Tragedya, 1901 (1 K 50 h); „Warszawianka“, 1903 (1 K 50 h); „Wyzwolenie“, Dramat, 1903 (5 K); „Wesele“, Dramat (5 K).

Dzieła Wyspiańskiego omawiamy na innym miejscu, tutaj tylko krótko zaznaczamy, że z tych dzieł przedewszystkiem „Warszawianka“ i „Wesele“ powinny się znaleźć w rękach każdego Polaka.

Kazimierz Przerwa - Tetmajer: „Anioł Śmierci“, Romans, 2 tomy w jednym (wydanie III., 1 rs. 80 kop.); „Melancholia“ zbiorok drobnych poetycznych opowiadań, (1 rs.); „Panna Mery“ (powieść, 1 rs. 80 k.); „Na skalnem Podhalu“, 3 tomy (po 1 rs.).

„Na skalnem Podhalu“ jest to zbiór przesłicznych opowiadań z życia górali tatrzańskich. Przed oczyma czytelnika przesuwa się szereg ogromnie malowniczych postaci juhasów i zbójników, tych, co to im życie upływało na łowach, na bójkach z „Luptokami“ i na zbójceckich napadach, co się kochali na zabój i żyli swobodnie i szeroko, jak orły. A obok typów męskich występują w tym zbioru nieznane przedtem literaturze naszej typy juhasek-zbójniczek, co to juhasom łamały żebra jednym uderzeniem pięści, albo swych „orlic“, Rózi, Ulki i Wikty Kopińskich, które razem z ojcem na przejezdnych kupców i podróżnych napadały, a schwytanego strzelca rozerwały na szuki.

Jest tych opowiadań kilkanaście, wszystkie zajmujące, a niektóre niezrównanie piękne. Do takich należy n. p. opowiadanie o „Dzikim junaku“, którego nic nie zmogło, tylko „dziewka i las“, albo opowiadanie o tem, „jak się to Józek Smaś po-
cyjnych. Nie trzymamy się żadnego z góry ułożonego planu, cytujemy autorów i ich dzieła jak nam na pamięć przychodzą, zawsze jednak będziemy baczyli na to, aby wskazać czytelnikowi książki piękne i poczytne.

Swobodę co do porządku autorów zastrzegamy sobie także na przyszłość.

jechał wysłuchać“. Chory był ciężko, baby go okadzały, a kiedy to nie pomogło, radziły, aby się z Bogiem pojednał. Dał się Smaś namówić i pojechał do Ludzimierza; a wybrał się na dwu wozach w gronie bab strojnych, z kapelą, i w pełnym rynsztunku zbójceckim, aby Panu Bogu pokazać, jak go szanuje.

Jakób Zych znowu, starzec już dziewięćdziesięcioletni, żegna się ze światem spokojnie. On ta wprawdzie zabijał i rabował, ale nieraz i na kościół dał; spowiadać się nie będzie, bo „co on ma z pacholke gadać, nie wnet będzie gadał z samym gazdom“.

Niezwykle świeże i piękne te opowiadania, — nie trzeba oczywiście dodawać, że typy tu wprowadzone należą do czasów zamierzchłych.

Inne, wymienione powyżej książki Tetmajera nie mają takiej wielkiej wartości artystycznej, jak zbiorok „Na skalnem Podhalu“, w każdym razie jednak należą do piękniejszych rzeczy, jakie literatura nasza w ostatnich latach wydała.

Władysław St. Reymont: „Fermenty“, 2 tomy (powieść, 2 rs.); „Komediantka“, (powieść, 1 rs. 50 kop.); „Lili, żałosna idylla“ (1 rs.); „Spotkanie“ (szkice i obrazy, 1 rs. 50 kop.); „Ziemia obiecana“ (powieść, 2 tomy, 2 rs. 40 kop.); „Przed świtem — Pewnego dnia — Sprawiedliwie“ (1 rs. 20 kop.); „Chłopi“ (I. Jesień, II. Zima, III. Wiosna — dotąd 3 tomy; część czwarta: Lato, wychodzi obecnie w Tygodniku Ilustrowanym).

Wszystkie wymienione powieści i nowele — to obrazy i obrazy wzięte wprost z życia. Reymont obserwuje bystro, trafnie, ale i twardo, wskutek czego w jego książkach (jak mówi A. Potocki) „biedne ułomności ludzkie wyglądają tak bezlitośnie nago, jak sprzęty wystawiane na licytację“. Nie idealizuje, nie poetyzuje nic, wszystko przedstawia tak, jak widzi, jest też w naszej literaturze powieściowej najwybitniejszym dziś przedstawicielem kierunku realistycznego. Coraz to inną grupę społeczną obserwuje, zawsze stwarza lu-

dzi prawdziwych i umie w swoje figury wlać życie.

„Komediantka“ — to powieść osnuta na tle włóczęgi prowincjonalnych aktorów. Bohaterką jest młoda dziewczyna, która parta żądzą wrażeń i sławy, porzuca dom rodzicielski i przyłącza się do aktorskiej trupy wędrownej. Droga, na którą wstąpiła, ślizka i Janka na niej upada. Dalsze jej losy, już po opuszczeniu teatru, opisuje autor w „Fermentach“. Tło opowiadania — to szare życie małomiasteczkowe ludzi należących do najrozmaitszych sfer. Znowu typów wiele, cała galerya dusz płtykich, małosłownych i ograniczonych.

W „Ziemi obiecanej“ wprowadza nas autor w świat przemysłowy, kreśląc typy i życie bogatych fabrykantów na tle materialnej i duchowej nędzy robotniczej. W książce tej „odtworzył Reymont z wielką szczerością i siłą wszystkie wrażenia, jakie na nim zrobił wstrętny widok zapasów

o rubla“ (słowa Matuszewskiego). Najlepiej się jednak czuje autor na wsi, wśród chłopów, których dusze zna na wylot. To też obrazy z życia i bogatych kmieciów i nędznych chałupników kreśli ze szczególną predylekcyą: i tutaj nie poetyzuje nic, zło i dobro w całej nagości odsłania. Prócz kilku noweli poświęcił autor chłopom i wsi ostatnią wielką swą powieść. Są to może pierwsze w literaturze naszej obrazy pisane, malujące chłopą takim, jakim jest naprawdę. Niema w nich znanych nam skądinąd sielankowych „kmiotków“, ale postacie takie, jakie znowu w malarstwie odtworzył Włodz. Tetmajer.

Język Reymonta plastyczny i barwny, choć czasem może przejaśkrawiony; opowiadanie jego postępuje zawsze w tempie żywym. Książki Reymonta należą do najlepszych rzeczy, jakie powieściopisarstwo nasze wydało; tem się też tłumaczy niezwykła ich poczytność. (C. d. n.)

St. Fischer.



MATERIAŁY.

STARE ZWYCZAJE LUDU ŚLĄSKIEGO.

a) W święta Bożego narodzenia.

1. W dzień i wieczór wigilijny:

1) Po kolei bierze każdy kancynał i otwiera; jakie miejsce się mu najpierw otworzy, taki będzie dla niego rok; n. p. otworzy się w miejscu, gdzie pieśni poistne, to rok bardzo smutny. (Zanot. w Trzyńcu.)

2) Po jedzeniu dziewczki wychodzą na podwórze, stoją przy płocie, czekając, z której strony pies zaszczeka; stamtąd też przyjdzie przyszły mąż. (Zanot. w Karwinie.)

3) Po wieczerzy dziewczki wychodzą między chlewki i wołają do świń: Nuśka, latoś? Jeżeli świnia odezwie się, to znak, że dziewczka się tego roku wyda; jeżeli się nie odezwie, to pyta się po drugi: Nuśka

na rok? lub Nuśka za dwa roky? tak długo, póki świnia nie zakróli, a przez to nie da dziewczce do zrozumienia, kiedy się wyda.

4) Kurom się sypie do obrączki zboże, żeby się nie rozchodziły z kupki, i coby po gromadzie niosły.

5) Podczas wieczerzy dawała pod nogi siekiere, żeby nogi nie bolały.

6) Pod serwet zaś dawała pieniądze, żeby w domu były zawsze pieniądze. (3. 4. 5. 6. zanotow. w Grojcu i Gródku.)

7) Z nowego chleba lub strucli ojciec odkrawa „skrowek“, który się chowa i jest bardzo dobry dla dzieci, jeżeli je obraża wrzód. (Zanot. w Trzyńcu.)

8) Świecę, która się paliła podczas wieczerzy, gasi każdy trzy razy; idzie dym do góry, to znak dobry, idzie w stronę ku „kierchowi“, to umrze, idzie w inną stronę, to będzie chory, lub będzie się musiał tułać po świecie.

9) Jeżeli rodzina pozjada wszystko, to będzie głodny rok.

10) Dzieci wystrzegają się we wille, by nie dostały kija, boby potem dostawały każdy dzień. (8. 9. 10. w Trzyńcu.)

11) Od wieczery nie śmie nikt wstać, boby umarł; jeżeli dziecko siednie na stół, to będzie miało zawsze pełno wrzodów.

12) Popielniki zatykają, a rano patrzą się, jakie są na popiele znaki. Jak jest znak dziecka, to ono umrze.

13) Kto z jutrzni będzie pierwszy doma, ten pierwszy skludzi z pola. Dlatego każdy śpieszy się do domu, ile tylko tchu starczy. (11.—13. zanot. w Nawsiu.)

14) Zaraz po wieczery daje się krowom i koniom opłatek, w którym są zapieczone zieliny (święcone), aby się darszyły (z chlebem, bo samego opłatka nie chcą).

15) Sнопек owsa (niemłóconego) trzyma się w stodole do gód i ten sнопек daje się koniom, skoro gospodni zawoła na wille do stołu.

16) Na zawołanie trzeba zaraz biedz, inaczej trzeba go wołać cały rok „dzie sięć razy“ ku jodłu.

17) Pсу rzuca się po wieczery czo-snek z chlebem przez okno kuchenne, aby był dobry wachtorz.

18) Jak się idzie na jutrznię, nabiera się do jakiego buciora trochę wody ze studni i stawia na nospę. Kiedy gazda lub gospodni wróci z jutrzni, bierze tę wodę, chodzi dookoła stawienia (chałupy) i kropi, powtarzając: „Pierwej woda, niż ogień“ (Zeby się co nie spoliło przez cały rok.) (14.—18. zanot. w Cierlicku i Kocobędu.)

19) Gospodni ustawia potrawy w pobliżu stołu, by je mieć pod ręką, gdyż niedobrze jest oddalać się od stołu podczas kolacyi.

20) Dziewczyny, idąc na jutrznię, myją się pieniądzmi, by mieć na twarzy ładną skórę.

21) Po kolacyi gryzą orzechy; jeżeli ktoś zgryzie pierwszy orzech pusty lub zły, będzie chory a może nawet umrze, w przeciwnym razie dożyje następnej wigilii.

Z czterech orzechów osadzają przyszły rok co do pogody, według tego, czy są orzechy dobre lub złe. 4 orzechy oznaczają cztery pory roku.

22) Noc jasna, noc księżycowa w wigilię oznacza przyszły urodzaj (20.—22. w Gródku.)

23) Jeżeli dużo gwiazd na niebie, kury będą dobrze niosły jaja. (W Milikowie koło Jabłonkowa.)

24) Z każdej potrawy w wieczór wigilijny ubierze się coś dla bydła. (Przy Fryszacie.)

25) O północy konie i krowy rozmawiają, woda przemienia się w wino, które tylko zupełnie sprawiedliwy człowiek może skosztować. Pewien gazda podsłuchiwał, jak konie mówiły, że go za trzy dni powleżą na kierchów. Jak skoro to usłyszał, zachorował i do rana umarł. (W Milikowie: podsłuchiwał pod żłobem, żłób się zawalił i zabił go.) (Zanot. w Milikowie i Cierlicku.)

26) Na stole, pokrytym białym obrusem, przeznaczonym specjalnie na wigilję, leży siano lub mech, a na nich jabłka. Koniecznie muszą być na stole w małych paczkach różne gatunki zboża, które miesza się ze zbożem przy wysiewie.

27) Uczestnicy zajmują miejsca przy stole według wieku.

28) Kolację rozpoczyna się wspólną modlitwą (zwykle Anioł Pański) lub też śpiewem.

29) Następuje łamanie opłatka, który zjada się z miodem.

30) Powinno się podać jak najwięcej potraw, bo wtedy następny rok przyniesie obfity plon.

31) Kolacya kończy się zdmuchiwaniami świecy. Komu dym z świecy idzie w górę, będzie miał przyszły rok pomyślny, jeżeli zaś dym wlecze się w kierunku drzwi lub okien, to zdmuchiwanego spotka jakieś nieszczęście.

32) Po kolacyi rozdaje gospodarz bydłu opłatek z chlebem.

33) Skrawek chleba odkraja ojciec na lekarstwo, mianowicie na kadzenie chorego, na taniec św. Wita i t. p.

(26.—33. Zanot. w Milikowie.)

b). Zwyczaje podczas wesela.

(We wsi Śląskiej, pod Czantoryą).

Zaręczyny. [Iste zolety lub Iste roki zwane],

Spisał F. Francus.

Oblubieniec wybiera się wieczorem z dwoma starszymi gazdami, lub przyjaciółmi, a przybywszy do domu oblubienicy, powiedziawszy pozdrowienie, proszą o przebaczenie, że do ich przybytku przybyli. Po chwili zaczyna jeden z śmielszych wyjaśniać słowa w 1. ks. Mojż., gdzie czytamy, że Pan Bóg stworzył Ewę, gdyż nie dobrze być człowiekowi samemu i że dlatego też młodzieniec, który z nimi przybył, chce wstąpić w stan małżeński. Proszą tedy o rękę córki, zwykle najstarszej w domu, bo mówią, że dziury w płocie robić nie wolno.

Inni zaś, przybywszy, mówią: Dobry wieczór! „Nie wiemy kochani gazdoszkowie, czychmy też to tu jisto trefili.“ Oblubieniec, przystępując do narzeczonej, mówi: „Jużec cie downo nie widzioł; tóż przyszychmy dzisiok aże trze z Wami co-sik słusznie pomówić.“ Gdy już gaździnka coś przyniosła ku pokrzepieniu, drugi starszy odzywa się: „My nie bedymy rychlij jeść ani pić, aż nom powiecie, jesi isto temu młodzieńcowi docie te waszą cerke.“ Gaździnka odpowiada: „Nale ludkowie, dyć jeny jedzcie, jakosik sie dorządzemy.“ Ojciec narzeczonej zapytuje się, ile młody pan ma pola, koni, krów i t. p., a gdy się wszystko podoba ojcu, matce i narzeczonej, to dopiero teraz siada ona ku swemu oblubieńcowi za stół, oba podają sobie ręce przed świadkami; czasem otrzymuje oblubienica podarunek: jedwabną szatkę i t. d. Potem jedzą i piją, co mają a prztem zazwyczaj umawiają termin wesela.

(C. d. n.)

o o o

6 czarnej księżnej.

Za downych czasów, już pore років temu, kiedy jeszcze mój nieboszczyk ojciec żył, Boże im tam dej leki odpoczynek, miała przez Cieszyn i przez Podobore

iść rzyka Wog. Prawią, że rzyka ta zaś sie tu skreco ku nom. Kiedy jo był jeszcze małym chłopcem, to ludzie opowiadali se często o czarnej księżnej. Jedni rzadzili, że ona mieszkała w Cieszynie i że jeszcze do dzisio jest pod ziemią chodnik z Cieszyna do Kocobędza, drudzy zaś rozprawiali, że mieszkała w zomku w Markłowicach. Ona nazywała sie czorną, bo dycki nosiła czorne obleczy. W Markłowicach, tu zaroz przy Podoborze w tych Markłowicach, miała zomek. Za życie swoigo była ona strasznie ostro i przeciwno. Nejwięcej siedziała w swoim zomku. Nikiedy chodziła na góny. Robiła ona strasznie wielki ty góny. To nikiedy snoci było przez 100 gońców. Zapraszała też panów z Cieszyna i gonili. Roz na przykład jeden goniec źle gonił. Ona dowiedziała się o tym i kozała go przywiązać na grzbiec czy na rogi jelenia. Jeleń tak długo gonił z nim, aż mu wszystkie kości połomoł. Koło jejigo zomku szła też ta rzyka Wog. Przez te rzyke Wog kozała ona wybudować most aż na Cieszynisko. Ten plac nazywają ludzie aż do teraz jeszcze tak, bo tam nejprzód stoł Cieszyn. Tam na tym Cieszynisku (miej-sce równe w Podoborze pod Cieszynem) robiła często muzyki i tańce. Kiedy umrzyła, zrobili ji bardzo piekny pogryzb, bo piniędzy zostało huk a snoci żodnych dzieci ni miała. Pochowali ją i zasuli ziemią. Rano jednak widzieli, że trówła z księżnom czornom jest na wyrchu. Z początku myśleli se ludzie, że to gdosikej chce sie pomścić na ni i że ji jeszcze po śmierci nie do pokój, i że ją gdosikiej wygrzeboł. Ale nieskorzy, kiedy widzieli, że ją ziemia po śmierci nie chce przyjónć, zaprzagnoli dwa woły cale czorne do wozu i puścili ich, niech idą, kaj chcą, chcieli sie ji pozbyć jako, bo cóż mieli śnią robić, kiedy ją ziemia fórt wychybowwała. Woły szły, szły prosto za cysarską, aż przysły na ten kopiec do Cierlicka, kaj stoi teraz Kościelec. Tu naroz woły skreśliły się na prawo z cesty i zapadły sie. Wtedy to miejsce nie wyglądało tak, jak teraz.

Rosły tam same taki krzoki. Tam między tymi krzokami woły zapadły się z trawą i już więcej ji ziemia nie wychynęła. Stanisławianie, Cierliczanie i Grodziszczanie z tych kopców mieli daleko do kościoła. Słżyli się i chcieli se też wybudować kościół, coby też bliży mieli do tego kościoła. Chcieli go wybudować na grodziskim kopcu, tam kaj to teraz stoi ten krzyż, co to kiesikej wojocy postawili podczas manebrow. Z tego kopca będą kiesikej wojocy, jak będzie wojna, bili na nieprzociela. Ludzie zaczyni budować tu ten kościół. Jeden doł piosku, drugi robił cegłę, drudzy zaś wozili drzewo. Tak wszyscy robili cosikej, żeby już jeny mieli swój kościół. Już zaczyni budować. Co jednak przez dzień wybudowali, to w nocy im gdosikej przeniós na to miejsce, kaj sie ta czorno księżno zapadła, a kaj teraz stoi kościelec. Ludzie przyszli rano, aby budować dali, a tu widzieli, że nima nic. Kiedy już im to tak więcej razy się stało, zaczyni budować kościół tam, kaj teraz stoi. Budowali, budowali, aż wybudowali. Roz przyszeł taki wielki wichur, że im wieże stargoł. Kiedy ją naprawili, zaś ją stargoł. Tóż kościół zastawili bez wieży. Zwony zaś powiesili do szopki. Szopka ta była po lewej stronie, jak się wchodzi do bronki. Jak ty zwony zerwało, to tak się wierzły do ziemi, że ich konłami ni mogli wyciągnąć. Wtedy też, jak to ten wiater był, wzięto z kocobendzkich szanów babe z brzemieniem trowy, a chłopca z koniem w Mistrzowicach. Wiater ich zaniós aż do Obory, a nic się im nie stało. Jak te wieże i zwony serwało z tego kościoła, zaczęno też straszyc. Roz naprzykład szel cysarską jeden masorz. Było ciepło i zachciało się mu pić. Tam przy ceście jest pod śliwką jedną zaroz przy murach studzienka. Tam bywała strasznie dobro woda. Kiedy się ten masorz zegion, aby się napić, uwiidził we studzińce jakisikej cień od kluczy, bo było już to wieczór, a miesionczek pięknie świecił. Chłop się zlynknół, podziwo sie na strom i widzi klucze dwa i zaczon od studnie uciekać.

Czem bardzy chłop uciekoł, tem bardzy klucze chybało cosikej za nim. Chłop strasznie się zlenk i od tego umrzył. Jeszcze więcej opowiadają o tym, jak tam straszło, ale człowiek już to pozapominoł, bo tam ludzie teraz o tym nie rządzą. Teraz już kościół postawili cały, już też tymu będzie ze dwacet roków, jako stoi nowy. Powiadają jeszcze, że się kościół zapadnie, jak będzie moc ludzi, ale jak go poświęcali, kiedy go cały postawili, to było pore set ludzi, a nie zapod się. Dyć też, jak tego młodego księdza z Cierlicka w tym roku, na św. Wawrzyńca w odpust wyścięcali, to przecem było tela ludzi, że jo nie pamiętom, żeby kiedy więcej było, a kościół się nie zapod i stoi fót.

(Opowiadał Jerzy Polok (70 lat) z Kocobendza, spisał Franciszek Chlebik, w grudniu 1907.)

o o o

Przewracanego.

Na świętego roka Michoł minół, jako nasz chłop starego psa pokonsoł; konew mu spuchła jak noga, prosie się oświniło, miało prośmioro ośmiat, wtedy świeczek miesił a szczekowie piesał a rzepalichmy kope i jo płot za fik.

o o o

Dwa Niemcy.

Prziszeł jeden chłop do bogactwa i chcioł też kraj obezdrzyć, tóż se napytoł pachółka, co umioł po nmiiecku, jakby przyjechoł do Niemiec, coby się umioł domłówić, by wiedzieli kaj jadom. I przyjechali ku jednej wodzie i że nie byli znajomi, tóż nie wiedzieli, jak je ta woda wysoko. I tóż tam stoł człowiek za wodą.

Ten gazda kozoł temu pachółkowi: „Spytej się tam tego człowieka po nmiiecku, esi tu przejadamy.”

I tóż ten pachółek wołół: „Hej du, głęboko tu?”

A ten za wodą był guły niemiec, tóż nie rozumioł, jak pachółek wołół i pyto się: „Wos?”

A ten gazda pyto sie pacholka, co ten człowiek z poza tej wody prawil.

„Ze tu przelos!“ — odpowiada pacholek.

„Dy tu przelos, to my też tu przejadymy“, powiada gazda. Pacholek pognoł konie. A tam wody było za hrubo, eny Opatrzność Boża, że sie nieutopili, a jak sie dostali szczęśliwie na brzeg, na drugom strone, tóż mu ten gazda prawil temu swoimu kuczerowi: „Dybyś mie tak był utopił, tak bych cie był hnet ze służby wypowiedzioł!“

(Spisywał E. Farnik w r. 1902 w Cierlicku...)

o o o

O PINIĄDZACH ZAPADNIĘTYCH.

Hań dówniej, kiedy ludziska musieli jeszcze pańszczyznę robić, a panowie ich obdziyrali ze wszystkiego, co sie chłopu narodziło na zógonie, w chlywie i na gniózdzie, nie dziwota, że bydy w chałupie nieróz było, aż kwiczał. Więc też ludzie więcej o Panu Jezusie myśleli, bo wiedzieli, że on im może pomóc w jejich starościach. Pón Jezus też o nich pamiętali i litowali się nad jich dolą i w niektóre dni też im pomagali. Nejczęściej to im dówali gotowe piniądze, bo piniądzami to se odrazu możnó pomóc. Ty piniądze dló ludzi były lecakandy schowane, nieprzymyryzający w dudławych stromach, abo pod kamiyniami tak strasznie wielkimi, że jich zódnó siła człowieczó nie dźwignęła. A nejwięcy było tego bogactwa w gorach. Wszyndy, kaj są teraz studnie bez dna, abo kaj są trząsófki,¹⁾ żeby sie w nich człowiek utopił, tam dównij były piniądze. Ale tych piniędzy nie możnó tak było se brać każdy dzień, kiedy gdo chciał, boby sie tylko próżnióków napłagło, a z tego by samó niewiara powstała. A i cięszkoby przychodziło dobrać sie do tych piniędzy, gdyby gdo chciał siłą. Tylko w Palmową

Niedziele i w Dziyń Zóduszny same drzewa i kamiynie sie otwiyrały na pórenoście minut, gdy ksiądz w kościele przemiyniół chlyb i wino. Wtedy wszyndzi, kandy były piniądze, ludzie bydni już od samego rana czekali, aby sie nie spóznili, a kiedy sie wszystko otwiyrało, pryndko brali do obydwóch górści i uciekali. Żoden też tam dobry człowiek nie chciół więcej brać, bo to były same nowiusińki piniądze i miół tego bardzo dużo. Śpiechali się też z braniym, boby za kciwość mogło ich nie-szczęście spotkać. Pón Jezus takich bardzo kórali, bo im nejczęściej kamienie i drzewa, jak sie znowu zawiyały, poucinały ręce i tak zostali dziadami, a bogactwa nie dostali, bo ono z uciyntymi rękami zostało zamknióne. Czasem też tryfiało sie, że i bez tydziyń dobry człowiek nalóz piniądze. Kiedy wyndzie se z siekiera, aby jaki drzewo zrabować na opól, rąbie do drzewa i chnet zakłódó do górka, a w nim pod pópiołym piniądze. Mocka razy sie też przygodziło, że jaki mizeryć chłop motykóm z roli wyciągnół nóczynie ze strzybłem abo ze złotem. Wtedy on miół wielką ucieche. Ludziska po nejwiększej części używali tych piniędzy na chwóle Bożą. Dówali na Msze za dusze w czyśćcu, sprawowali woskowe świyeczki do kościołów, a po polach stawiali Męke Jezusową.

Dzisiók już tych piniędzy żoden nie dostanie, chociaż ich jest jeszcze okropnie mocka. A stało sie to skiż jednego złego człowieka. Jakiś bogócz i bluźniciel Pannienki Maryi dowiedziół sie, że tak leko możnó bogactwa wielkiego zebrać, więc w Palmową Niedziele czekał w gorach przy jednym kamieniu. Kiedy przyszeł czas, naróz dźwignął się kamień i on doprówdy użrził straszne kupy złota. Zaróz też zaczón do miecha pakować. A tu czas przeszeł i kamień znowu sie przywalił i zamknął żywego tego zbereźnika. Od tego to czasu, że zły a bogaty człowiek chciół ukraść tych piniędzy, Pón Jezus zakózali ziymi sie otwiyrać, a wszyscy skarby głęboko sie pozapódały. A jó powiym, że tak je lepszy, bo teraz ludzie,

¹⁾ moczary.

choć mają biyde, nie proszą Pana Jezusa o pomoc i zlitowani, ale jeszcze go gnijwają. A takim Pón Jezus nie mogą pomóc.

(Zapisał Jan Szczepan Kopeć w Bronowie.)

o o o

SKOND SIE WZIYNI CYGONI?

Jakech jeszcze był małym chłopcem, toch mocka slychowol o cygonach i bolech sie ich bardzo, bo mi doma powiadali, że oni małe dziecku kradną. Roz, jak użech troche podros, spytolech sie nieboszczki mamulki, skond sie to wziyni cygoni na świecie, a oni mi to tak wyłożyli: Jak żydzio chcieli Ponbóczka krzyżować, nagołowali se cztery gwoździe i dali je nysć

cygonowi... Ale tymu zabyło bardzo żol Ponbóczka; chciol Go tesz zaros oswoodzić, ale nie wiedziol, jakoby to zrobić...

Naros prziszło mu cosikej do głowy... Wzion on jedyn gwóźdź i schował go do kapsy, bo se myśloł, że jak bydzie jednego gwoździa chybiac, to Ponbóczka nie ukrzyżują... Ale sie omylił... Jak wylyżli wszyscy na gore Kałwarye, chcieli żydzio przybić Ponbóczka gwoździami, a tu nie było sztwortego gwoździa. Pytają sie zaros cygona, kaj go podziol; ale on sie zaczon krzywić i wymować, że go ni mo i że go może isto kajsik stracił... A tu Ponbóczek sie na niego podziwali, pogrozili mu palcem i prawili: nie cygoń. On tego czasu są cygoni na świecie...

(Według opowiadania matki, spisał E. Grim.)



SŁOWO OD WYDAWCY.

Z drugim zeszytem „Zarania“ zasyłamy wszystkim łaskawym współpracownikom, prenumeratorom i przyjaciółom pisma serdeczne życzenia szczęśliwego Nowego Roku. Życzliwość Wasza dla pisma naszego jest także życzliwością dla spraw ludu polskiego na Śląsku. Upraszamy mianowicie o zachęcanie zdolnych sił do współpracownictwa i zyskiwania nowych prenumeratorów dla „Zarania“, aby pismo mogło zniżyć prenumeratę, opatrzyć niektóre artykuły ilustracyami, załączać dodatki artystyczne i rzucić zeszyt między

lud. Współudział w dziale artystycznym przyrzekł artysta-malarz prof. Jan Raszka z Krakowa. Mamy więc nadzieję, że uda nam się dodać do 4. numeru dodatek artystyczny, przedstawiający motywa z dziedziny ornamentacyi ludowej na Śląsku.

Na życzenie niektórych prenumeratorów zaprowadziliśmy także stałą rubrykę: Przegląd nowości literackich.

Ciąg dalszy sztuki ludowej „Iste Roki“ i rozprawy „O teatrze“ musieliśmy dla braku miejsca odłożyć do następnego numeru.

OD ADMINISTRACYI.

Powołując się na notatkę, załączoną do 1. zeszytu, przypominamy, że tych WP. odbiorców, którzy nam 1. zeszytu dotąd nie zwrócili a prenumeraty nie nadesłali, mamy prawo zapisać i zapisujemy też w

poczet prenumeratorów na cały rocznik.

Manuskryptów nie zwracamy; jest więc wskazaniem, by WP. autorowie przysyłali rzeczy swe w czytelnym i dobrze przejrzanym odpisie.

